WTOREK Nr 102 2 IX 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Harcsafari-78

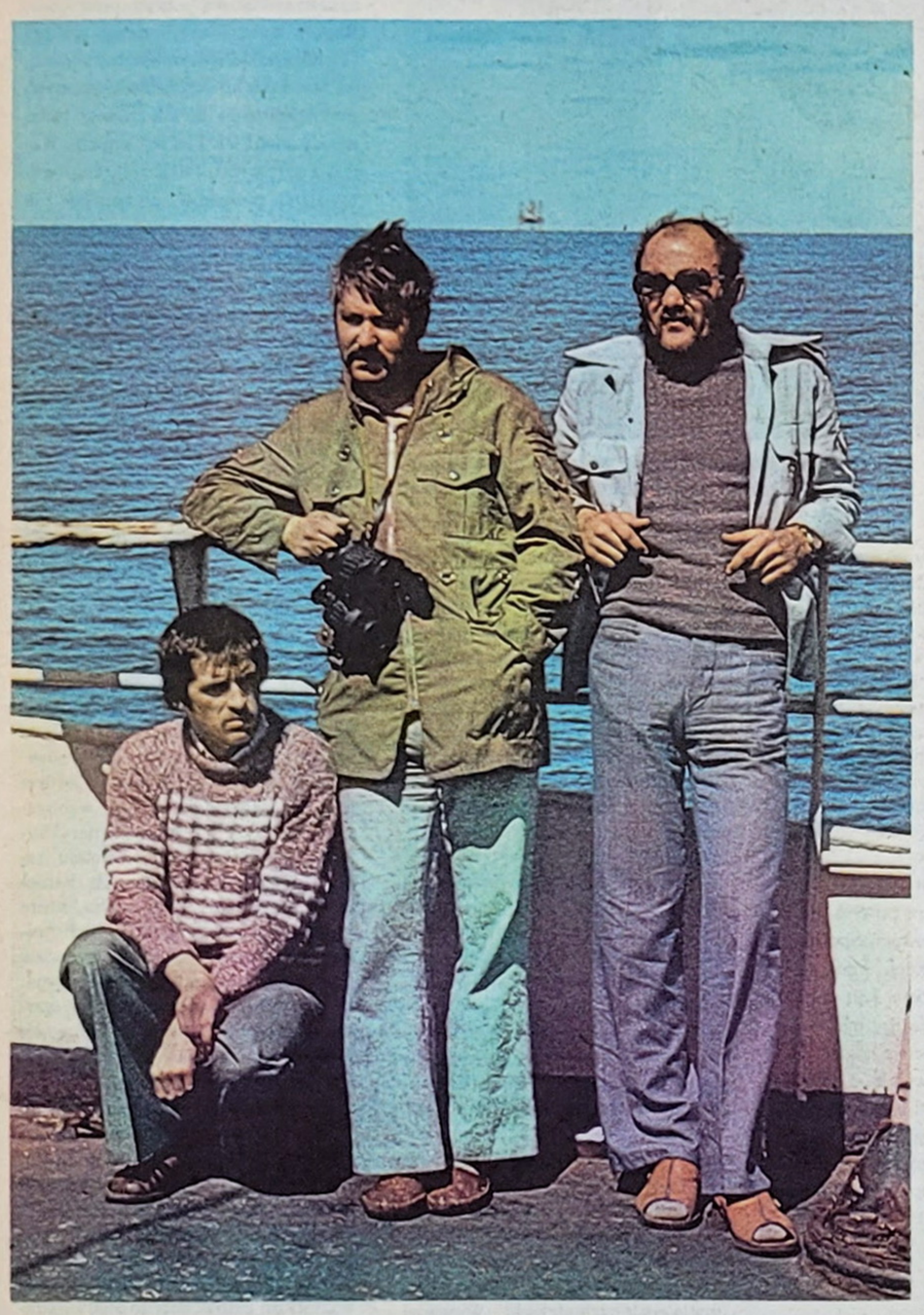

...to hasło, które nietrudno rozszyfrować. Harcerskie Safari-78, to podróż instruktorów Zielonogórskiej Chorągwi ZHP imienia Wojsk Ochrony Pogranicza do Afryki Zachodniej i Równikowej w drugiej połowie 1978 roku. Jej uczestnikami byli druhowie: prof. Marian Eckert, Bogusław Lisiecki, Zbigniew Polowy oraz Józef Sokołowski, który przygotował dla Was garść wspomnień z „Harcsafari".

O spotkaniu z senegalskimi harcerzami przeczytasz na str. 3.

Na zdjęciu: Uczestnicy wyprawy Harcsafari-78 od lewej: Bogusław Lisiecki, prof. Marian Eckert, Zbigniew Polowy

Fot. **Józef Sokołowski**

W „Darze Młodzieży" – będzie cząstka naszej pracy...

Harcerze ze Szczepu „Piast" działającego przy szkole podstawowej nr 7 w Krapkowicach postanowili swoim wkładem przyczynić się do budowy żaglowca „Dar Młodzieży". Każda z drużyn naszego Szczepu pracowała przy zbiórce i sprzedaży butelek, złomu, makulatury i innych surowców wtórnych, z czego uzyskaliśmy kwotę o łącznej wartości 2683 złote, którą wpłaciliśmy na konto budowy następcy „białej fregaty". Dumni jesteśmy z tego, że w „Darze Młodzieży" będzie także cząstka naszej pracy.

Czuwaj!
Beata Żok
Potwierdzam zgodność:
Komendant Szczepu „Piast"
mgr Irena Bazgier

Po raz pierwszy w dziejach ME

BRĄZOWE MEDALE MIROSŁAWA PIERONCZYKA I TOMASZA KABACIŃSKIEGO

Aż 28 ekip startowało w niedawno zakończonych XXIII mistrzostwach Europy w tenisie stołowym juniorów i młodzików. W poznańskiej hali „Arena", gdzie odbyła się impreza, doszło do kilku niespodzianek. Jedną z nich stanowi zdobycie brązowego medalu (w grach drużynowych młodzików) przez polską parę Mirosław Pierończyk (klub „Wawel" Wirek) – **na zdjęciu** i Tomasz Kabaciński („Burza" Wrocław). Warto dodać, że jeszcze nigdy w historii ME juniorów i młodzików polskie zespoły nie zdobyły tak poważnego sukcesu. Wspomniana para na podobnych zawodach przed rokiem zajęła lokatę poza czołową ósemką. Gratulujemy postępu!

Warto również powiedzieć, że Międzynarodowa Federacja Tenisa Stołowego od lat zabiega o włączenie tej popularnej w świecie gry do programu olimpijskich igrzysk. Pewne jest, że nie będzie jej jeszcze za cztery lata w Los Angeles, ale możliwe, że zobaczymy tenisistów na igrzyskach roku 1988. **(zp)**

Fot. **CAF**

Tu Echosonda... Tu Echosonda... Tu Echosonda...

JAKA BYŁAŚ, PIERWSZA KLASO?

Wielu z naszych czytelników zaczyna w tym roku naukę w nowej średniej szkole. Byli ósmoklasiści czują się jak przed wielką podróżą. Co ich czeka? Czy dadzą sobie radę? A może ubiegłoroczni pierwszoklasiści podzielą się swoimi doświadczeniami z młodszymi kolegami?

Zapraszamy do udziału w naszej echosondzie wszystkich, którzy mają już za sobą pierwszą klasę szkoły ponadpodstawowej. Hasłem echosondy jest pytanie: **Jaka byłaś, pierwsza klaso?** Napiszcie, z czym mieliście najwięcej problemów i kłopotów w pierwszej klasie? Jak sobie z nimi radziliście?

Czekamy na listy. Najciekawsze wypowiedzi zostaną opublikowane, a ich autorzy otrzymają znaczki „ŚM". Listy adresujcie: Świat Młodych, Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Na kopercie dopiszcie „Echosonda".

OBCIACH

– Co ja będę dużo panu tłumaczył. Wyrzucili mnie i już. To znaczy właściwie nie wyrzucili, tylko kazali zmienić szkołę. Ale to przecież na jedno wychodzi. Po prostu obciach.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Strusie na Syberii

ZSRR (PAP). Radzieccy archeolodzy podczas badań nad Jeziorem Bajkał i na Zabajkalu znaleźli ślady strusi. Ptaki te żyły na zabajkalskich stepach w okresie tak zwanego optimum klimatycznego, kiedy na całej półkuli północnej było cieplej niż obecnie. Znaleziono wiele okazów strusich jaj oraz dobrze zachowane szkielety tych wielkich ptaków. Warto przypomnieć, że jeszcze 6 tys. lat temu struś był znacznie częściej spotykany niż obecnie; m. in. ptaki te żyły w Azji Mniejszej. **(kż)**

Są lżejsze i oszczędzają energię

DOMY Z PYŁÓW

KRAKÓW (PAI). Pyły lotne, produkowane w nadmiarze przez elektrownie i odrzucane na hałdy (obliczono, że zalega na nich już ok. 500 mln ton), mogą być wykorzystane z korzyścią dla ochrony środowiska i gospodarki. Z pyłów tych można bowiem produkować materiały budowlane, górujące własnościami nad materiałami opartymi na tradycyjnych surowcach. Budynki wznoszone z materiałów pyłowych mają mieć ciężar o 30 proc. mniejszy od tradycyjnych – co da znaczne oszczędności w transporcie; ponadto ich obróbka nie wymaga wypalania w piecach – zaoszczędzi się więc znaczne ilości węgla. Projekt wykorzystania pyłów z elektrowni do produkcji materiałów budowlanych powstał w Zakładzie Ceramiki Budowlanej Instytutu Materiałów Budowlanych i Ogniotrwałych AGH – a praktycznie sprawdziły go już Lubuskie i Krakowskie Zakłady Ceramiki Budowlanej. **(tok)**

Uratował życie kolegom

SZCZECIN (PAP). Podczas prac remontowych na trawlerze „Laterna" groźnemu zatruciu uległo dwóch rybaków. Tylko dzięki Jarosławowi Kubackiemu, który zachował spokój i przytomność umysłu, udało się zorganizować sprawną akcję ratowniczą. Rybaków uratowano. Za swój czyn Jarosław Kubacki został wyróżniony przez kierownictwo Szczecińskiego Przedsiębiorstwa Połowów Dalekomorskich „Gryf". **(ak)**

REZERWAT NA PUSTYNI

MONGOLIA (PAP). Część pustyni Gobi – tereny pustynne i półpustynne o powierzchni około 2 mln km kwadratowych – stanie się w przyszłości wielkim rezerwatem przyrody. Będzie to jeden z największych parków narodowych w Azji Środkowej. Zgromadzi się tu liczne i rzadkie już gatunki zwierząt, takie jak: koń Przewalskiego, dzikie wielbłądy, osły pustynne. Znajdzie się tutaj także wiele egzotycznych ptaków. **(kż)**

Anty-wibracyjne obuwie

ZSRR (PAP). Naukowcy z Leningradu skonstruowali specjalne buty przeznaczone dla pracowników narażonych na szkodliwe oddziaływanie wszelkiego rodzaju drgań. W podeszwie buta znajduje się komora wypełniona sprężonym powietrzem. Dolna część komory wykonana jest w formie elastycznej membrany, na której opierają się specjalne korki wychodzące na zewnątrz podeszwy. Dzięki takiej konstrukcji kołki odgrywają rolę amortyzatorów całkowicie tłumiąc drgania podłoża. Ciśnienie powietrza w komorze podeszwy jest regulowane w zależności od ciężaru pracownika. **(kż)**

Fot. **W. Wróblewski**

O tym warto wiedzieć

DIALOG „PÓŁNOC-POŁUDNIE"

Kraje bogate i ubogie zebrały się znów w Nowym Jorku, by zająć się podstawowymi problemami, przed jakimi stanie ludzkość w sferze gospodarczej jeszcze przed rokiem 2-tysięcznym. Chodzi tu o przygotowanie terenu przed „globalnymi negocjacjami" w ramach ONZ, jakie przewidziane są na pierwsze miesiące 1981 roku i będą dotyczyć 5 kompleksów zagadnień: surowce, energia, handel, rozwój gospodarczy oraz sprawy walutowe i finansowe.

Kraje produkujące ropę naftową i importerzy ropy będą mogli w ten sposób przedyskutować całość żywotnych problemów energetycznych po raz pierwszy od międzynarodowej konferencji poświęconej sprawom współpracy gospodarczej. Konferencja ta zwołana została po dramatycznej podwyżce cen ropy w latach 1973–74 i obradowała w Paryżu przez 18 miesięcy, od grudnia 1975 do czerwca 1977. Uczestniczyli w niej przedstawiciele 27 krajów z Północy i Południa. Konferencja ta nie spełniła nadziei III Świata, które liczyły na sprawiedliwszy podział światowych zasobów surowcowych i energetycznych, co pozwoliłoby im przezwyciężyć głód i nędzę na półkuli południowej i ułatwiło dalszy rozwój gospodarczy.

Od tego czasu dyskusje prowadzono na kilku konferencjach. Nie udało się uzyskać istotnego postępu dla stworzenia nowego międzynarodowego porządku gospodarczego, czego tak bardzo pragnęły kraje rozwijające się. Główne kraje zachodnie, przywiązane do zasad gospodarki rynkowej, odrzucają idee „zbyt rewolucyjne", jakie wysuwa III Świat. Zgadzają się najwyżej na „ewolucję" struktur gospodarki światowej, ale pod warunkiem, że proces ten będzie przebiegał „zgodnie ze wspólnym interesem".

Z innych jeszcze powodów obrady nowojorskie rozpoczęły się w nie najlepszej atmosferze. Pogorszyły się światowe perspektywy energetyczne, gospodarka krajów wysoko uprzemysłowionych przeżywa recesję w wyniku nowej fali podwyżek ceny ropy, która zadała wyjątkowo dotkliwy cios kruchej gospodarce najuboższych państw. Porozumienie nie będzie też łatwe z racji aktualnej międzynarodowej sytuacji politycznej.

Mężowie stanu i eksperci o światowej renomie proponują podjęcie nowych wysiłków dla zredukowania lub całkowitego usunięcia braku równowagi między Północą a Południem, tak aby można było uniknąć „przyszłej katastrofy". „Komisja Brandta" określiła te problemy terminem „wojna lub pokój", twierdząc, że chodzi tu o przetrwanie ludzkości. Komisja ta, złożona z 18 „mędrców", reprezentujących Północ jak Południe, zaproponowała przed 6 miesiącami program pilnego działania, rozłożony na 5 lat. Program ten przewiduje masowy przerzut zasobów z krajów bogatych do krajów rozwijających się, międzynarodową strategię w sprawach energii, ogólnoświatowy program żywnościowy oraz pierwszą serię reform zmierzających ku przebudowie struktur światowej gospodarki, Przewodniczący Komisji, Willy Brandt, zalecił zwołanie „szczytu" Północ-Południe dla zapoczątkowania najpilniejszych inicjatyw. „Szczyt" taki, grupujący 20–25 krajów, może rzeczywiście zebrać się w Meksyku w pierwszym półroczu 1981. Nie ulega wątpliwości, że sprawa ta będzie dyskutowana w Nowym Jorku.

Idea nowego dialogu Północ-Południe została przyjęta podczas spotkania na „szczycie" państw niezaangażowanych w Hawanie we wrześniu 1979 r.

Czy nowy dialog między bogatą Północą a biednym Południem przyniesie oczekiwane rezultaty, trudno powiedzieć. Interesy jednych i drugich państw są zbyt rozbieżne. (b)

Kto gra sam...

...ten nigdy nie przegrywa – mówi sycylijskie przysłowie. Inne zawierają podobną myśl: *Kto idzie sam, ten nie ma kłopotów*, albo: *Kłaniamy się i rozchodzimy*. Skąd na Sycylii ta niespotykana gdzie indziej w przysłowiach, pochwała izolowania się od innych ludzi i wyraźna zachęta do trzymania się z boku, do milczenia? Jeśli przyjmiemy, że przysłowia są mądrością narodu, to dlaczego mądrość sycylijska jest tak gorzka, tak przeciwna więzom społecznym, wspólnemu działaniu?

Danilo Dolci – włoski poeta, pisarz i działacz społeczny na Sycylii, przeprowadził setki rozmów tropiąc m. in. właśnie przyczyny takiego, a nie innego stosunku ludu sycylijskiego do życia. Oto charakterystyczny wyjątek z jednej z takich rozmów: *„Wszyscy wiedzieli, że w miasteczku rządzi on... Ludzie oczywiście zabiegają o jego przyjaźń, przynoszą mu owce, jagnięta, ser... Człowiek nie powinien za dużo mówić. Mamy uszy, ale udajemy głuchych, mamy oczy, a nie wolno nam widzieć, mamy usta, a nie wolno nam mówić. Dzięki temu, człowiek może żyć w spokoju"*. Dodajmy – może w ogóle żyć...

Kto? Co? Zatyka Sycylijczykom uszy, zasłania oczy i knebluje usta? Mafia! A co to jest ta mafia? Najkrócej mówiąc jest to tajna organizacja powstała w XIX wieku na Sycylii dla ochrony majątków ziemskich przed nadużyciami wojsk obcych, a także i przed napadami miejscowych bandytów. Po zjednoczeniu Włoch w 1860 r. właściwie straciła ona rację bytu w swej dotychczasowej formie, ale nie przestała działać, zmieniła się. Opanowana przez elementy przestępcze zaczęła posługiwać się rozbojem i szantażem nie stroniąc nigdy od polityki, zawsze po stronie tych, którym służyła od początku swego istnienia – bogaczy. Istnieje do dziś, mając szerokie powiązania ze światem przestępczym w Europie, a przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, gdzie emigranci sycylijscy stworzyli najpotężniejszą dziś na świecie organizację przestępczą „Cosa Nostra". Mafia jest obok terroryzmu ciężką chorobą Włoch, na którą jak dotychczas nie wynaleziono lekarstwa.

Żeby zrozumieć przyczyny jej powstania, jej niezniszczalną siłę, trzeba cofnąć się o wiele lat wstecz w dziejach Sycylii. Przez wyspę tę przetoczyło się, a i osiedliło na niej wiele plemion, narodów i władców. W V wieku p.n.e. przybyli tu Sykanowie, Elimowie i Sykulowie, zakładając liczne osiedla. Później pojawili się Fenicjanie, naprzód tylko handlujący z miejscową ludnością, a później i osiedlający się na wybrzeżach. Po nich przybyli Grecy, a po tych Rzymianie. Później panowali tu władcy bizantyjscy, których wyparli Arabowie. Pod koniec XI wieku przybili do wybrzeży Sycylii jasnowłosi wojownicy z północy – Normanowie, narzucając swą władzę miejscowej ludności. Po nich nastąpili francuscy Andegawenowie, a potem Hiszpanie ze swoją okrutną inkwizycją. Władcy hiszpańscy ustąpili miejsca książętom sabaudzkim, których wyparli Austriacy, ci zaś z kolei ustąpili władzy Burbonom neapolitańskim, którzy wytrwali aż do zjednoczenia Włoch pod jednym berłem królewskim. Wyspa przechodziła z rąk do rąk albo na drodze podbojów, albo jak majątek od jednego spadkobiercy czy nabywcy do drugiego. Jedno się tylko nie zmieniało: było zawsze mało bogatych i ogromne rzesze nędzarzy. Bieda sycylijska, sycylijskie zacofanie, ciemnota stały się przysłowiowe i do dziś niewiele straciły na aktualności. Nic więc dziwnego, że w takiej atmosferze, gdzie pan płacił zawsze swym „zuchom", czyli członkom mafii – *mafiosom* za ochronę i pilnowanie chłopów, tak mocna mogła się stać właśnie taka tajna organizacja. A cóż pozostało biednym rolnikom? Zamknąć się w sobie i pilnie baczyć na każde słowo, bo nigdy nie wiadomo, do kogo się je wypowie. A mafia zna tylko jedną karę dla nieposłusznych – śmierć. I dlatego takie, a nie inne są sycylijskie przysłowia.

Czym jest mafia teraz? Jak działa? Zanim odpowiem na te pytania, trzeba wyjaśnić dość dziwną sprawę wzrostu potęgi mafii po drugiej wojnie światowej. Amerykanie szykując się do inwazji na Europę, która zaczęła się właśnie od Sycylii, starannie się do tego przygotowali. Tak się jednak złożyło, że w przygotowaniach tych dziwnym trafem postanowili skorzystać z pomocy „swoich" Sycylijczyków, ale wcale nie tych uczciwych, ale tych z „Cosa Nostra". Zaraz po wylądowaniu zaczęli zabiegać o zjednoczenie całej mafii sycylijskiej, która oczywiście w samą porę przeszła do obozu antyfaszystowskiego licząc się ze zwycięstwem aliantów. Amerykanie przybyli do Sycylii mając w kieszeni listę nazwisk godnych zaufania osób. I znów dziwnym trafem – ale logiczną konsekwencją tego pierwszego trafu – byli to przeważnie *mafiosi*, którymi obsadzili kierownicze stanowiska. W ten sposób członkowie mafii stali się burmistrzami wielu miast i miasteczek Sycylii. W ten sposób aliancka administracja wojskowa przyczyniła się do odbudowy i umocnienia mafii sycylijskiej. Później organizacja ta wyszła spod wpływów amerykańskich, by schronić się pod skrzydła chrześcijańskiej demokracji. Mafia zawsze jest po stronie władzy. Prawda jest bowiem taka, że utrzymuje ona z władzą stosunki oparte bądź na zwykłym przekupstwie przedstawicieli władzy, bądź na usługach wyborczych. Faktem jest, że mafia zapewnia wpływowym politykom chadeckim uzyskanie maksymalnej liczby głosów w wyborach posługując się szantażem, terrorem i całym mechanizmem interesów. Bo cóż bardziej jest interesującego dla bezrobotnego niż obietnica pracy?

Sycylijscy chłopi. To zdjęcie wykonano w roku 1980, ale równie dobrze mogłoby ono pochodzić z początków naszego wieku, tak niewielkie zaszły tam zmiany

Zbrodnie typu mafijnego rozpoznaje się przede wszystkim po tym, kim jest zamordowany, a następnie po sposobie wykonania egzekucji. Mafia posługuje się na ogół *lupárą*. Jest to dubeltówka z obciętą lufą, by była bardziej poręczna. Ładuje się ją grubym śrutem używanym niegdyś w czasie polowań na wilki. Stąd nazwa *lupara*. Dlaczego mafia zabija właśnie tymi pociskami? Dlatego, że dają one pewność, że się zabije. *Lupara* jest równie skuteczna jak pistolet maszynowy, a poza tym jest to tradycyjna broń chłopów sycylijskich.

Mafia jest budowlą wielopiętrową, z przeplatającymi się licznymi przedziałami i korytarzami na każdym poziomie. Parter tej budowli stanowi „mafia ubogich". Na Sycylii zachodniej każde przedmieście, każdy kompleks domów na swą grupę, każda grupa swego szefa. *„Mafia słyszy wszystko i widzi wszystko"*. Co robią członkowie mafii? Inkasują okupy. U dentysty, sklepikarza, fryzjera. Zdarza się, że za pierwszym razem spotykają się z odmową. Nigdy za drugim, bowiem tymczasem kilka laseczek dynamitu zniszczyło nieco wystawę lub gabinet. Na całej Sycylii jest 130 tysięcy poszukujących pracy. Większość z nich to młodzież, nietrudno więc o kandydatów do mafii. Powyżej tego parteru jest w organizacji mafii jakby antresola. Jest to świat stary, bez nieboszczyków, bez huku, bez hałasu. Ale jeśli na nieszczęście ktoś umrze w Palermo czy innym mieście i trzeba go pochować, to przede wszystkim koniecznie trzeba zapłacić „podatek" mafii cmentarników. Na tej samej antresoli należy umieścić spokojnych ojców rodzin, którzy kontrolują rynki rybne, owocowe i warzywne. Tam również rzadko zdarzają się awantury.

Wyżej, na pierwszym piętrze zaczyna się „mafia klasyczna" nazywana też „mafią spalonych strzech". Wywodzi się ona bezpośrednio od mafii rolniczej, która rozdzielała wodę – bez której nie ma na Sycylii rolnictwa – kradła bydło, kazała je zabijać nielegalnie i rozdzielała mięso, która ścinała oliwki opornych i łamała nogi cieląt, która porzucała czasem na drodze ciało zdrajcy z uciętą prawą dłonią, co znaczyło, że dokonana została sprawiedliwość „szanownego towarzystwa". Dziś ta klasyczna mafia interesuje się przede wszystkim handlem narkotykami i robotami publicznymi. I tak np. gdy postanowiono zbudować autostradę z Palermo do Sciacca (północ–południe), natychmiast zajęła się tym mafia. Rezultat: marna droga, poprzecinana wąwozami. Ani jednego samochodu, bo to grób dla silników. Ale był to piękny interes! Mafia podzieliła między siebie kilka miliardów lirów i jedynie z powodu drobnych sporów było 18 nieboszczyków.

To nie koniec struktury organizacyjnej, jest jeszcze piętro drugie, tzw. „mafia właściwa", czyli polityczna. Raport komisji antymafijnej zawiera fotokopie dziesiątków listów z wyrazami szacunku lub solidarności pisanych przez polityków do tak znanego przywódcy mafii jak Frank Coppola. Komisja opracowała 140 kart skompromitowanych polityków, po namyśle postanowiła nie ujawniać ich publicznie. Tej „mafii właściwej" nie brak tupetu. Jeden z jej najbardziej znanych członków deputowany Giovanni Matta, były zastępca burmistrza Palermo zdołał nawet wejść do komisji antymafijnej. *„Przyszedłem tu, by bronić honoru mego i innych przyjaciół"* – ogłosił. Niełatwo było go usunąć. Komisja wycelowała też w osobistość na wielką skalę, kwestionując postępowanie Attillo Ruffiniego, który aż do ostatniej zimy był ministrem obrony, a następnie spraw zagranicznych.

Historycy podzielili zjawisko mafii na cztery kolejne fale. Początkowo była faza rolnicza, wiejska i patriarchalna. Druga fala oznacza zwrot ku bandytyzmowi. Trzecia, to przejście do miast. Czwarta fala, to wszystkie poprzednie wzbogacone o metody gangsterów amerykańskich. Jest jednak pewien element stały w tej historii: zawsze istniała i istnieje stara mafia i młoda mafia, które walczą o władzę. Nie ma w nich „ojców chrzestnych" wbrew legendzie i nie ma dziedziczenia z ojca na syna. W tym światku, gdzie najwyższą wartością jest gwałt, zawsze brał górę najgwałtowniejszy. Na Sycylii ciągle toczy się wojna o sukcesję. I wojna z przeciwnikami... W czasie trzech ostatnich lat mafia zamordowała blisko tysiąc osób. Wśród nich był prokurator Gaetano Costa, człowiek nieprzekupny, który dobrze się mafii dobrał do skóry; był też Michel Reina – szef policji Palermo, a także Boris Guliano – szef brygady policyjnej. Przede wszystkim jednak były to ofiary rozrachunków wewnątrzmafijnych.

JERZY KOWALKOWSKI

Fot. archiwum

Kwiatki...

Spotkałem wczoraj pana Kazia, kibica-amatora z sąsiedniej dzielnicy, z workiem na plecach. Przy każdym kroku pobrzękiwało coś w nim, oczywiście, w worku. Pomyślałem sobie, że wtórny surowiec, czyli złom taszczy do punktu skupu, ale dlaczego w towarzystwie trzech uroczych nastolatek z wiązankami kwiatów? Czyżby już nawet sprzedaż złomu stała się u nas imprezą wymagającą artystycznej oprawy?

Pan Kazio, dostrzegłszy mnie, zdjął wór z pleców i ostrożnie oparł go o schodki wiodące do szacownej instytucji i zagadał z wyrzutem.

– Patrzysz pan na mnie, jakbyś w swoim niekrótkim już życiu działania sportowego z workiem na plecach nie widział.

– To prawda, nie widziałem. Chyba tylko trenera, który za sportowym idolem wór z jego ciuchami dźwigał, w obawie, by kondycji przed startem nie stracił. Działacz, jak sama nazwa wskazuje – działa, a nie z workiem chodzi po ulicy.

– Ale ja właśnie działam! I to dla masowej kultury fizycznej, bo dla sportu szkolnego. Chodzę do dyrektorów, prezesów, naczelników, referentów i ministrów, do redakcji, instytucji, zakładów i spółdzielni z prośbą o ufundowanie nagród na szkolne igrzyska, które za tydzień chcemy organizować. Nauczyciele wf zajęli się organizacją zawodów, a na mnie i paru jeszcze działaczy spadł „miły", ale jak sam pan widzi, trudny obowiązek proszenia o nagrody.

– Sądząc po zawartości worka czułych serc na rozwój sportu szkolnego spotkał pan wiele...

– Wszystko zależy od odpowiedniego chwytu. Powodzenie w zbieraniu nagród też. Trójka towarzyszących mi dziewcząt to właśnie chwyt. Jola, Zosia i Magda wręczają np. dyrektorowi kwiatki i pismo z odpowiednim tekstem, który kończy się zdaniem, że „za ufundowanie nagrody z góry serdecznie dziękujemy".

– Po cóż więc się trudzić, pismo można wysłać pocztą.

– Naiwny z pana człowiek. Widać niewiele ma pan z urzędami do czynienia. Na takie pisma z reguły się nie odpowiada, albo załatwia w tzw. trybie urzędowym, czyli w ciągu minimum miesiąca, a igrzyska już za tydzień. Osobisty kontakt dzieci z dyrektorem no i kwiatki, swoje robią. Przecież dzieciom odmówić nie wypada. Zebraliśmy trochę pucharów, dzbanów, talerzyków i filiżanek. Dostaliśmy też dziadka do orzechów, przecinak do papieru, kilka długopisów i wiele innych mniej cennych drobiazgów, ale z czułego serca danych. Pan prezes Spółdzielni „Przyszłość" podarował nam nawet komplet kieliszków „Kaliber 45" i popielniczkę.

– Może sądził, że zbiera pan upominki dla wyczynowców?

– Coś pan, dla wyczynowców trzeba by meblowym wozem albo kontenerem upominki zwozić, a nie z workiem na plecach biegać. Masowa kultura fizyczna nie rozpycha się łokciami, nie wywołuje sensacji, nie doprowadza do histerii tysięcy kibiców jak wygrany czy przegrany mecz piłkarzy, albo skandaliczne burdy i kaperownictwo. Jest cicha, skromna i prosząca. Rozwija się, choć wielu działaczy sportowych i nie tylko, wydatki na nią kojarzy z rozrzutnością społecznego grosza. Dla nich liczą się tylko medale, rekordy i tytuły mistrzowskie.

– Na szczęście masową kulturą fizyczną zajmują się ludzie bezinteresowni, tysiące działaczy i nauczycieli wf pukających do dyrektorskich drzwi z prośbą o drobny datek lub upominek dla dziewcząt i chłopców, dla których sport jest pasją i ambicją. Ale czy dzieci powinny wkładać kwiatki do dyrektorskich dzbanów i dziękować za ofiarowany drobiazg?

– Też mam wątpliwości, ale proszenie, nawet o spełnienie służbowego obowiązku, weszło już u nas w zwyczaj, a ze zwyczajami trudno walczyć.

To prawda, trudno. Pan Kazio zarzucił wór na plecy i w asyście uroczych nastolatek powędrował do kolejnych dyrektorskich drzwi. No cóż, taki zwyczaj...

RYSZARD RATAJCZYK

Harcsafari–78

(1)

U WRÓT CZARNEJ AFRYKI

Ms „Radom" wpłynął na redę portu DAKAR. Mogliśmy odpocząć po długiej podróży.

Przed nami „wrota czarnej Afryki". Z porannej mgły wynurzyły się błyszczące w tropikalnym słońcu wieżowce wielkiej metropolii, stolicy Senegalu, od 20.06.1960 suwerennej republiki. Po lewej burcie statku naszą uwagę przyciągała mała wyspa, nazywa się GOREE. Na niej nie ma wieżowców. Jest natomiast coś, co pozwoliło zapisać się jej w historii narodów Afryki w sposób szczególny.

Wielki Dakar zbudowany został przez Francuzów na Przylądku Zielonym (Cap Vert) – najdalej wysuniętym na zachód skrawku afrykańskiej ziemi. Do tego miejsca w 1444 roku dopłynął swoją karawelą Portugalczyk Denis Fernandez DIAZ. Na pamiątkę tego wydarzenia jego załoga wzniosła na lądzie drewniany krzyż. Sztorm i przeciwne wiatry uniemożliwiały dzielnemu Portugalczykowi dalszą podróż na południe. Musiał powrócić do Lizbony. Ówcześni kronikarze miejsce to uznali za najbardziej „zielone" na trasie wypraw morskich do Afryki Zachodniej. I taki jest z pewnością rodowód nazwy Przylądek Zielony.

Po rozładowaniu samochodu i bagaży, opuściliśmy nasz statek. Minęło jeszcze kilka dni zanim przyzwyczailiśmy się do widoku olbrzymiej masy czarnych ludzi i do obcowania z nimi i tylko z nimi. Póki co, wynaleźliśmy dla naszego samochodu wygodne miejsce na biwak, przy ROUTE DE LA CORNICHE na Przylądku Manuel, na wysokim bazaltowym brzegu oceanu, nie opodal prywatnej rezydencji premiera Senegalu. Każdego ranka budziły nas komendy wydawane żołnierzom podczas zmiany warty przy willi premiera. Kilkanaście minut później sam szef rządu senegalskiego wsiadał do czarnej limuzyny i w asyście policyjnego samochodu udawał się do swoich zajęć. Po śniadaniu my również wyjeżdżaliśmy do „swoich zajęć" – zwiedzać miasto.

Jako instruktorzy harcerscy zamierzaliśmy nawiązać kontakt z organizacją harcerzy senegalskich. Niespodziewanie pomógł nam w tym przypadek. W trzecim dniu pobytu w Dakarze pojechaliśmy w jakiejś drobnej sprawie na dworzec główny kolei senegalskich. Po kilkunastu minutach postoju z tłumu pasażerów wyszedł wysmukły, barczysty Murzyn i skierował się w stronę naszego samochodu. Przedstawił się po francusku, oznajmiając, że jest zastępcą Sekretarza Generalnego organizacji, która nazywa się ECLAIREURS DU SENEGAL. (HARCERSTWO SENEGALSKIE). Zostaliśmy zaproszeni do ich Kwatery Głównej. Znajduje się ona w jednym ze skrzydeł pałacu prezydenta republiki. Następnego dnia rano, punktualnie o dziewiątej, przy pałacowej bramie pilnie strzeżonej przez pysznie i kolorowo ubranego gwardzistę, oczekiwał nas Sekretarz Generalny Harcerstwa Senegalu, druh ALIOU SAMBA DIALLO wraz z naszym wczorajszym gościem. Jeszcze kilka dni wcześniej nawet przez myśl mi nie przeszło, że będziemy gościć w pałacu, którego gospodarzem jest LEOPOLD SEDAR SENGHOR, prezydent Senegalu, wybitny mąż stanu, a także poeta znany nie tylko w Afryce.

W trakcie godzinnego spotkania z naszymi czarnymi kolegami-harcerzami sporo dowiedzieliśmy się o ich organizacji. Jak dotąd nie osiągnęła ona jeszcze liczby 10 tys. członków, przede wszystkim uczniów szkół podstawowych i średnich. Działają oni w trzech grupach wiekowych. Podobnie jak u nas zdobywają też sprawności np.: kucharza, rowerzysty, tropiciela i inne. Znaczną część funduszy organizacyjnych wypracowują sami, uczestnicząc najczęściej w akcjach zadrzewiania wydm nadmorskich i terenów półpustynnych. Ich instruktorzy rekrutują się głównie z kadry nauczycielskiej. Niestety, senegalscy harcerze nie mogą pochwalić się własnym czasopismem. Wydają oni okresowo jedynie specjalne biuletyny.

Minął kolejny dzień naszego pobytu w Dakarze. Uzbierało nam się trochę przybrudzonych rzeczy i dlatego też postanowiliśmy zrobić „wielkie pranie". A zatem było i „wielkie suszenie". W tym czasie Zbyszek poprawiał coś w samochodzie, a Bogdan rozłożył już naszą polową kuchnię. Ja z profesorem Eckertem przeglądałem plan Dakaru. Po chwili przed naszym samochodem zatrzymał się młody i jakoś dziwnie podniecony Murzyn. „Cześć panowie, co słychać w Polsce?" – zwrócił się do nas z tym pozdrowieniem i zapytaniem jednocześnie. Zatkało nas, nie spodziewaliśmy się takiego spotkania. I cóż się okazało, był to mgr inż. FALL PAPA MARUBAYE, absolwent Politechniki Łódzkiej. Spędził z nami sporo czasu, opowiadając nam o swoich studiach i pobycie w Polsce, a także o swojej obecnej pracy w znanej fabryce gobelinów w THIES. Przy okazji zaprosił nas do jej odwiedzenia. Z największą przyjemnością wspominał chwile spędzone w czasie wolnym od zajęć na uczelni, kiedy to mógł dokładniej poznawać nasz kraj. „Polska jest drugą moją ojczyzną – powiedział – spędziłem u was moje najlepsze lata." Ale nie tylko o naszym kraju rozmawialiśmy. To spotkanie było przede wszystkim dobrą okazją, aby dowiedzieć się czegoś więcej o Senegalu i jego stolicy, o kulturze.

Rozmowa z mgr. inż. Fall Papa Marubaye, absolwentem Politechniki Łódzkiej, który okazał się nieocenionym przewodnikiem po Dakarze

Druh Aliou Samba Diallo – Sekretarz Generalny Harcerstwa senegalskiego

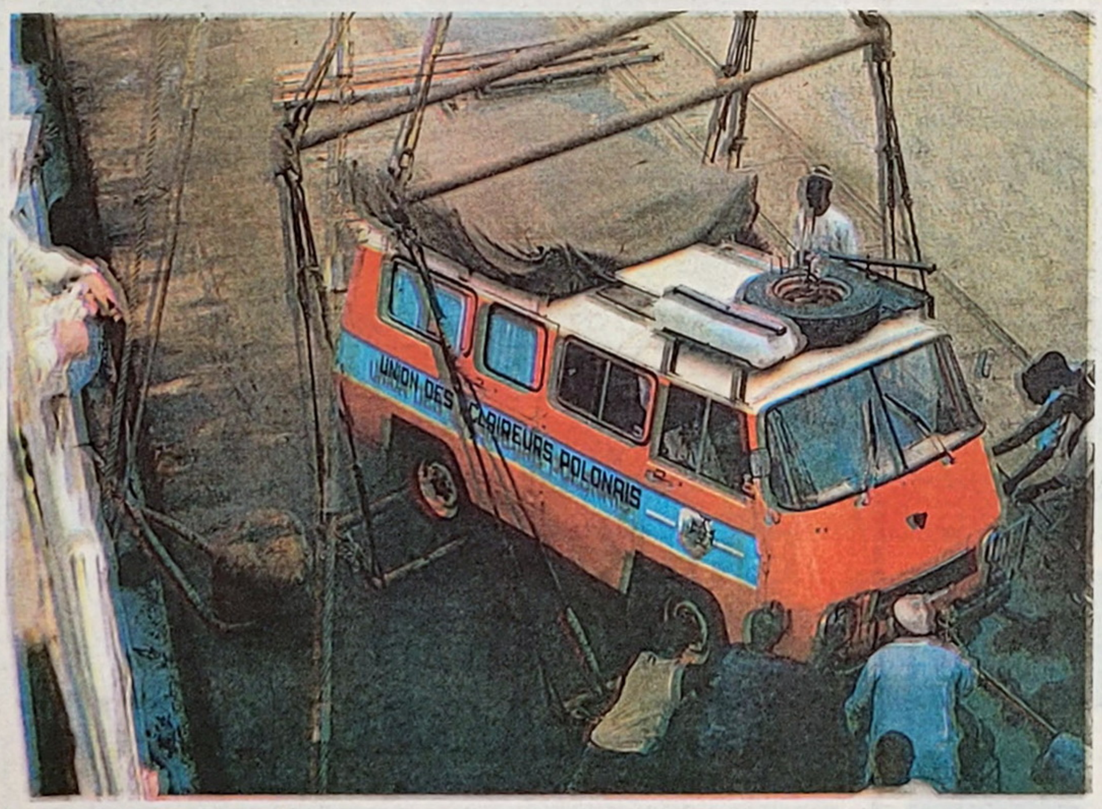

Rozładunek samochodu w porcie

Czuliśmy, że nasz czarny przyjaciel znalazł się w swoim żywiole. Na rozłożonym na trawie planie Dakaru wskazał nam miejsca, które powinniśmy zobaczyć. „Zacznijcie od hotelu INDEPEDANCE – mówił. – Z tarasu widokowego na dachu zobaczycie i przekonacie się jaki Dakar jest paryski. Koniecznie musicie pojechać do Muzeum Etnograficznego I.F.A.N. Polecam Teatr DANIELA SORANO, znany w wielu krajach świata, występował również w Polsce. Nie zapomnijcie o naszym uniwersytecie, pierwszym, jaki powstał w Afryce Zachodniej". I opowiadał nam o tym wszystkim jak wytrawny przewodnik i to w języku, który wszyscy bez wyjątku doskonale rozumieliśmy. Jedna jego wypowiedź najbardziej utkwiła mi w pamięci. Powiedział: „Byłem raz na wycieczce w Oświęcimiu, to była dla mnie prawdziwa lekcja historii. Dlatego też namawiam was, popłyńcie na wyspę Goree, to niedaleko, 20 minut promem. Może i dla was będzie to lekcja, ale z historii mojego narodu".

Pożegnał się z nami PAPA MARUBAYE, żałując, że jako muzułmanin nie mógł zjeść z nami smacznego obiadu, ponieważ kilka dni wcześniej zaczął się już ramadan.

Nasze „wielkie suszenie" miało się ku końcowi. Przed zachodem słońca wróciliśmy na stare miejsce przy ROUTE DE LA CORNICHE. Co wieczór mieliśmy gości. Przysiadali się do nas ciekawscy przechodnie, a także sympatyczni, choć natrętni mali chłopcy. Jedni z uwagą przyglądali się naszym wieczorowym zajęciom, innych zainteresował samochód z rozstawionym na dachu, pomarańczowym namiotem do spania i namalowanym krzyżem harcerskim, na jego drzwiach i dalej napisami na burtach „Związek Harcerstwa Polskiego" po angielsku i francusku. Jednak znaleźli się i tacy, którzy przychodzili do nas, bo byli po prostu głodni.

Zmęczeni wrażeniami i wizytami, zasnęliśmy kamiennym snem. Następny dzień miał być pełen wrażeń. Naszym celem była wyspa Goree, wyspa niewolników.

Tekst: **JÓZEF SOKOŁOWSKI**
Fot. **autora**

UWAGA! Część drugą Harcsafari zamieścimy w numerze sobotnim.

REDAKCYJNA POCZTA

Szukam przyjaciela podobnego do mnie

W tym roku skończyłam VIII klasę. Straciłam wszystkie koleżanki i dwie wspaniałe przyjaciółki, z którymi utrzymuję kontakt, ale to już nie to. Czasem chcę z kimś pogadać, zwierzyć mu się, razem z nim zastanowić się nad różnymi rzeczami – teraz mi brak takiego kogoś. Dlatego piszę do ciebie z prośbą o wydrukowanie listu. We wrześniu kończę 15 lat, nie mam rodzeństwa, bardzo lubię Beatlesów, Queen i Pink Floyd, interesuje się fantastyką naukową, kulturą Indian i piłką nożną (chociaż w sporcie nie jestem najlepsza). Moją prawdziwą pasją jest psychologia. Bardzo lubię zastanawiać się nad postępowaniem ludzi i czasem denerwowałam tym swoje koleżanki i kolegów, którzy padali ofiarą takich rozpatrywań. Podobno umiem pomagać w zmartwieniach. (Tak przynajmniej twierdziły moje koleżanki i często zwierzały mi się ze swoich zmartwień). Jestem raczej zamknięta i wszystkie sprawy, nawet te, które dotyczą mnie bezpośrednio, analizuję z pozycji obserwatora. W ocenach jestem raczej obiektywna. Jestem raczej nieśmiała, rzadko okazuję swoje uczucia. Napisałam bardzo dużo o sobie, ale to dlatego, że szukam przyjaciela, który byłby podobny do mnie.

Anna Wieczorek
Warskiego 27a/3, 65-054 Zielona Góra

Kiedy można być szczęśliwym?

Kiedy można być szczęśliwym? Co to jest szczęście? Czy w ogóle istnieje? – często zadaję sobie takie pytania, jednocześnie analizując siebie. Do niedawna szczęście kojarzyło mi się zawsze z jakimś spełnionym marzeniem. Następnie zauważyłam, że się zmieniam, to, czego najbardziej pragnęłam, co jeszcze kilka lat temu stanowiło „moje prawdziwe szczęście", obecnie nie jest już takie ważne. Ten proces trwa we mnie nadal. W tym roku szczęście objawiło mi się w zupełnie inny sposób niż kiedykolwiek.

Na wakacjach byłam w górach. Mieliśmy pokój z tarasem, na którym wieczorami często przesiadywałam. Raz zobaczyłam księżyc. Był w pełni, prawie zupełnie czerwony. Odcinał się tak ostro od nieba, że sprawiał wrażenie czegoś niesamowitego i pięknego zarazem. Wtedy zebrała się we mnie taka radość i było mi tak dobrze, że chciałabym patrzeć w nieskończoność. Byłam jak gdyby zespolona z całym światem: z górami, chmurami, mgłą i tym księżycem. Pomyślałam, że jestem szczęśliwa w dziwny, niespotykany dotąd sposób. Potem wyłoniły się chmury i zasłoniły księżyc, a raczej on w nie wpłynął. W sercu poczułam ból, czy może smutek. Tak, to chyba był smutek. Nie było już księżyca, znikła moja cicha radość i harmonia. Nagle poczułem na policzku łzę, zrobiło mi się wstyd. Wstydziłam się tej łzy, mojego wzruszenia i smutku, który zakradł się do mojej duszy.

Beata Kowalewska z Chrzanowa

PIOTR

Duża kuchnia przerobiona ze strychu. Wysoko kołysze się słaba żarówka. Pod oknem maszyna do szycia. Matka od rana do wieczora pochylona nad obracającym się kółkiem. Siwe włosy gładko zaczesane do tyłu, oczy zaczerwienione, podkrążone... Trzeba się spieszyć. Gdzieś ok. 16,00 przychodzą pierwsze klientki. Zaczyna się wtedy wielkie przymierzanie, tu zaszewka, tam lepiej rozpuścić, albo założyć odrobinę i już sukienka wygląda inaczej, lepiej. Dużo przekonywania, plotki... Jak to między kobietami.

W samym kącie, wtulony między ścianę a szafkę, siedzi Piotr. Uczy się. Odrabia zadania z matematyki, pisze wypracowania, wkuwa rosyjskie słówka. Kuchnia jest jedynym miejscem, gdzie jeszcze może się skupić. Mimo wścibskich klientek mamy. W jednym pokoju malutka Beatka, córeczka najstarszej siostry Piotra. Beatka wciąż płacze i kaprysi. Drugi pokój to pokój gościnny. Jest tam telewizor, miękka kanapa i duży fikus. W pokoju gościnnym nie przebywa się bez konkretnej potrzeby. Można wejść, aby wyjąć z szafy czysty sweter, albo poszukać zielonego ręcznika. W niedzielę wszyscy jedzą tam obiad, no i... oczywiście przyjmuje się tam gości. Uczyć się nie wolno.

Piotr dobrze o tym wie. Zostaje tylko kuchnia. W kuchni gotuje się obiad, pierze brudną bieliznę. Tutaj też wieczorem rozkłada się starą wersalkę, kiedy mama wstanie wreszcie od maszyny.

Piotr uczy się średnio, ale jest pracowity i ambitny – tak przynajmniej mówi wychowawczyni. Wątły, o lekko pochylonej sylwetce.

Ma bardzo fajnego kolegę, Jurka. Zawsze chodzą razem na poszukiwanie „skarbów". Te ich skarby to żuki, ważki i motyle. Świat zainteresowań Jurka i Piotra. Potrafią godzinami chodzić po polach, z uporem wpatrując się w ziemię, albo przeciwnie – wysoko zadzierając głowę. Najczęściej milczą, rozmowa podobno przeszkadza i przez niepotrzebne gadulstwo mogą nie zauważyć jakiegoś ciekawego okazu. Swoje skarby zanoszą do szkoły. Obaj nie mają na nie miejsca w domu, a nauczyciel biologii bardzo życzliwie patrzy na chłopców. Czasami po lekcjach we trójkę uważnie przeglądają atlas owadów i „usypiają" swoje „skarby", które potem wędrują do szklanej gablotki.

Nieraz przychodzi do Piotra Anka, koleżanka z klasy. Najczęściej po zeszyt czy książkę. Siedzi dłużej niż wymaga tego pożyczenie zeszytu. On nie ma nic przeciwko temu, za to mama niechętnym okiem patrzy na dziewczynę. Piotr lubi Ankę. Nie jest zarozumiała, nie zadziera nosa i nie śmieje się głupio z byle czego. A co najważniejsze – rozumie Piotra. Kiedyś nawet przyniosła mu motyla. Prawda, że zwykłego bielinka, ale skąd Anka mogła wiedzieć, że taki nie jest mu wcale potrzebny. Liczy się przecież sam fakt.

Na początku siódmej klasy przyszedł do szkoły nowy nauczyciel wychowania fizycznego. Skakali wtedy w dal. W pewnej chwili powiedział do Piotra – przyjdź po lekcjach. Okazało się, że jest dobry. Odtąd trzy razy w tygodniu Piotr biegał, skakał i znowu biegał. Pod okiem nauczyciela robił szybkie postępy. Po pół roku nie miał w szkole równego sobie.

Nawet swoje żuki porzucił, czego Jurek nie potrafił przyjacielowi wybaczyć. Wstawał o szóstej rano, wciągał dres i wybiegał na dwór. Nie przeszkadzał mu deszcz ani zimno. Potem prysznic, kubek kakao i do szkoły. Po lekcjach jeszcze dwie godziny. Tym razem już z trenerem. Do domu przychodził zmęczony, a tu jeszcze lekcje, węgiel przynieść... Nie skarżył się, chciał być najlepszy. Nigdy nie mówił, że już na więcej go nie stać, że to szczyt jego możliwości i nie rozumie dlaczego trener marszczy czoło i ma niezadowoloną minę. Sam też był często z siebie niezadowolony. W nieskończoność powtarzał skoki. Chciał doskonale opanować technikę.

Mama wciąż narzekała – „po co ci to? Komu potrzebne jest twoje skakanie, i tak na olimpiadę nie pojedziesz." Patrząc znad maszyny na syna, w żaden sposób nie mogła go zrozumieć.

– Skaranie boskie z tym chłopakiem! – zwierzała się sąsiadkom – minuty spokojnie nie posiedzi. Przepada po całych dniach, nie wiadomo gdzie i po co. Niby się uczy, a przecież widzę jak zerka ukradkiem na dres.

Piotr jednak nie zaniedbywał nauki. Trener od razu powiedział: pamiętaj, jak nałapiesz dwój, nie pozwolę skakać. Nauka pierwsza. Nie miej potem do mnie pretensji. Piotr wziął sobie jego słowa do serca. Szczególnie ostro zabrał się za polski, z którym zawsze miał najwięcej kłopotów. W żaden sposób nie mógł zrozumieć dlaczego raz pisze się tępo, a raz tempo, morze i może, chwała i hojnie.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

BOHATEROWIE NASZYCH DRUŻYN

2

Dzieje jednej dziewczyny

W 1927 roku, gdy dziesięcioletnią Wandę zapisywano do gimnazjum pań Popielewskiej i Roszkowskiej, była to jedna z bardziej znanych szkół w Warszawie. Znajdowała się na Mokotowie, to znaczy w dzielnicy, z którą pani Helena (matka Wandy) związała swoje ówczesne życie. Szkoła należała do obu pań przełożonych, powstała bowiem z połączenia dwóch szkół: ośmioklasowej szkoły Janiny Popielewskiej oraz szkoły Janiny Roszkowskiej, która w 1913 roku otworzyła pierwszą żeńską szkołę „w gminie Mokotów" przy ulicy Puławskiej 5. Początek istnienia szkoły zbiegł się z latami pierwszej wojny światowej. Już w 1915 roku, na skutek dużego napływu dzieci, Roszkowska przeniosła swoją szkołę do lokalu przy ulicy Bagatela 15.

W latach szkolnych Wandy, to jest w latach 1927–1934, szkoła przy Bagateli 15 zajmowała pięć pięter i mieściła się w trzydziestu dwóch izbach. Poza izbami lekcyjnymi posiadała dwie sale gimnastyczne, pracownie fizyczno-chemiczną, biologiczną, robót ręcznych oraz bogato wyposażoną bibliotekę. Koleżanki Wandy, z którymi udało mi się zetknąć w toku niniejszej pracy, stwierdzają zgodnie, że ich przełożone traktowały swoją pracę pedagogiczną jako pewnego rodzaju posłannictwo. Były entuzjastkami wychowania dziewcząt i wkładały wiele wysiłku i pieniędzy, by szkoła była placówką na wysokim poziomie. W tym czasie szeroko propagowano idee tworzenia gospodarstw wiejskich przy szkołach. Kierownictwo szkoły wraz z Kołem Opieki Rodzicielskiej zakupiło dla szkoły w Nowinkach koło Piaseczna dom z ogrodem i trzyhektarowym polem. W ciągu roku szkolnego starsze klasy jeździły do Nowinek na zajęcia szkolne dwa razy w roku. W pogodne dni lekcje odbywały się w lesie. Nowinki dawały swym uczennicom dużo radości. Dziewczęta uczyły się samodzielności i poznawały zajęcia w gospodarstwie rolnym, ponieważ cała praca wokół domu, a nawet w ogrodzie, z wyjątkiem prac szczególnie ciężkich, należała do uczennic. Nauczycielka przyrody, pani Poniatowska, świetnie wykorzystywała warunki. Lekcje przyrody, geografii i rysunku z reguły odbywały się na wolnym powietrzu w ogrodzie. Pobyt w Nowinkach uczył też dziewczęta kolektywnego współżycia.

Dziewczęta lubiły szkołę. Do domów wracały całym stadem i natychmiast po obiedzie spotykały się ponownie. Szkoła uczyła przyjaźni opartej o wspólne dyskusje, o stałą codzienną wymianę myśli. Prowadzone przez niektórych nauczycieli lekcje systemem seminaryjnym sprzyjały wyrobieniu samodzielności sądów. Szczególnie wryły się w pamięć moich rozmówczyń lekcje historii, prowadzone przez panią Bornholzową oraz przez świetnego pedagoga, panią Irenę Luksemburżankę, o której, mimo iż była zagorzałą katoliczką, krążyła wieść, że była rodzoną siostrą Róży. Moje rozmówczynie podkreślały demokratyzm kierownictwa i nauczycieli. W szkole były dzieci rodziców zamożnych z dużych i pięknych mieszkań oraz dziewczęta z rodzin, których sytuacja materialna była znacznie skromniejsza. Mimo że obowiązywało wysokie czesne – do stu złotych miesięcznie, dużo uczennic korzystało z ulg, a nawet całkowitych zwolnień z opłaty.

Panowała tu pełna tolerancja wobec wszystkich wyznań. Wśród uczennic były dziewczęta z domów ateistycznych, były protestantki, prawosławne i Żydówki. Szkoła wszczepiła dziewczętom zapał do nauki i emocjonalny stosunek do podejmowanych i wykonywanych zadań. Ten zapał pogłębiała jeszcze wychowawcza praca czwartej żeńskiej drużyny harcerskiej prowadzonej przez drużynową Martę Dobrzyńską. „Druhna Marta", niewiele starsza od swych wychowanek, umiała zaprzyjaźnić się z dziewczętami i zaskarbić sobie autorytet. Zawładnęła nimi. Moje rozmówczynie podkreślały, że wszystkie formy pracy harcerskiej (gry, zabawy, zbiórki) stały się w ich drużynie tłem dla przeżyć znacznie głębszych. Uczyły życia w zbiorowości, wyrabiały ambicje nie tylko indywidualne, lecz i grupowe, uczyły się obowiązkowości wobec przyjętych zadań. W drużynie dziewczęta analizowały przeżyte zdarzenia, zastanawiały się nad nimi. Drużynowa skontaktowała dziewczęta z dziećmi ze szkół powszechnych. Dwa zastępy prowadziły świetlice szkoły podstawowej przy ulicy Dolnej. Jeden z zastępów pomagał dzieciom w odrabianiu lekcji, drugi organizował dzieciom wycieczki po Warszawie. Organizowano spacery po śródmieściu, Starówce, uczono dzieci dziejów miasta, pokazywano im zabytki.

Ta praca miała znaczenie wychowawcze również dla harcerek, które ją prowadziły. Poznawały warunki życia dzieci mieszkających poniżej skarpy wiślanej – na Czerniakowie i Powiślu. Drużyna pomagała i przygotowywała letnie obozy. Był to duży wysiłek, niejednokrotnie przekraczający możliwości 13–15-letnich dziewczynek. Starały się o środki pieniężne i pomoc dla tych, których nie stać było na indywidualny ekwipunek. Organizowały przedstawienia (bilety sprzedawano rodzicom), piekły ciasteczka na posiedzenia Koła Rodzicielskiego, robiły zabawki na choinkę. Każdy obóz był wszechstronnie przygotowany. Przed wyjazdem np. na Wigry drużyna studiowała nie tylko mapę okolicy, lecz dzieje Suwalszczyzny, zapoznawano się z geografią i geologią terenu.

Moje rozmówczynie przyznały, że jeszcze obecnie, po tylu latach i przemianach historycznych, które trudno nieraz objąć myślą, doznają wzruszenia na wspomnienie swych zbiórek, pogadanek, wieczorów przy ognisku prowadzonych przez panią Martę.

W toku pracy nad życiorysem Wandy udało mi się kilkakrotnie skontaktować z Martą Dobrzyńską. Wandę według opinii jej drużynowej cechowała prawość charakteru, wierność danemu słowu i przyjętym na siebie zobowiązaniom. Miała poczucie obowiązku społecznego, rzecz jasna jeszcze wówczas ograniczonego do środowiska własnej klasy i swego gimnazjum. Miała pewien wpływ na klasę dzięki swej koleżeńskości, nie była małostkowa, cechował ją brak egoizmu, była zawsze gotowa stanąć w obronie słabszej koleżanki. Była to – jak stwierdza teraz po latach jej drużynowa – dobrze wychowana, rozumna i kulturalna uczennica.

Dziewczęta z 4 WDH tworzyły jak gdyby własny świat rządzący się własnymi prawami, opartymi o piękne zasady humanistyczne, że wszyscy ludzie są braćmi i że braterstwo zobowiązuje, szczególnie młodych. Dopiero przy wejściu w życie studenckie, które przypadało na lata wzmożonych antysemickich burd uniwersyteckich, nastąpiła u Wandy tak jak i u pozostałych dziewcząt konfrontacja zasad, którymi żyły w szkole i w swej drużynie, z rzeczywistością.

Dziś, gdy po latach odwracam taśmę jej życia i usiłuję je porządkować, stwierdzam jak ważne były lata szkolne w krystalizowaniu się jej sylwetki duchowej. Podstawowym rysem charakteru Wandy była głęboka prawość i wrażliwość na krzywdę ludzką. A cechy te ukształtowała w dużym stopniu szkoła i harcerstwo. Lata studenckie przyniosły jej nowy krąg doświadczeń. Poznała życie codzienne nie tylko młodzieży studenckiej. W czasie studiów zbliżyła się do środowisk młodzieży robotniczej. Stanęła przed nowymi decyzjami.

Dokończenie w następnym numerze

IRENA KOWALSKA

Nie tylko miód!

USA (PAP). Pszczoły – poza dostarczaniem miodu – mogą oddać jeszcze jedną przysługę człowiekowi. Jak się okazało, owady te są naturalnymi kontrolerami czystości powietrza. Amerykańscy specjaliści z Uniwersytetu Montana twierdzą, że przy pomocy pszczół można bardzo wcześnie określić wpływ zanieczyszczenia środowiska w określonych rejonach na żywe organizmy. Ślady znajdujących się w powietrzu niebezpiecznych składników można potem odnaleźć podczas chemicznej analizy wydzielin owada, w którego organiźmie zbierają się one nawet wtedy, gdy występują w bardzo małych ilościach w środowisku. Tak wczesne wykrywanie trujących substancji ma duże znaczenie dla ewentualnego przeciwdziałania większym szkodom, jakie mogłyby wyrządzić te substancje. Badania pszczół wykazały np. wzrost ilości szkodliwych substancji (z 8 do 16 części na milion cząsteczek powietrza), po wybudowaniu w rejonie badań dwóch zakładów energetycznych. Taki poziom zanieczyszczenia nie niesie za sobą oczywiście niebezpieczeństwa, ale jego określenie świadczy o bardzo dużej dokładności „pszczelej metody". Kontrolując powietrze pszczoły nie zapominają o miodzie. Szczęśliwie jednak zanieczyszczenia środowiska nie odbijają się na jego jakości, a to dzięki swego rodzaju filtrowi.

(kż)

UWAGA UCZESTNICY KONKURSU MORSKIEGO – NIESPODZIANKI

Dziś drukujemy ostatni, szesnasty, odcinek konkursowy. Przypominamy: każdy, kto posiada co najmniej dwanaście kolejnych kuponów oraz dokonał wpłaty na konto budowy „Daru Młodzieży" kwoty co najmniej 50 zł może wziąć udział w losowaniu 105 nagród.

Kupony (bez odcinków rysunków) oraz dowód wpłaty z poczty należy włożyć do koperty i wysłać do dnia 10 września na adres: Redakcja „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Na kopercie naklejcie wyciętą znad jednego z kuponów banderę wodną ZHP i napiszcie: Konkurs Morski – Niespodzianka.

Losowanie nagród odbędzie się w dziesięć dni od daty dzisiejszego numeru.

Każdy posiadacz szesnastu rysunków powinien po prawidłowym ich ułożeniu otrzymać wizerunek „Daru Młodzieży" – namalowany przez pana Marka Sorokę.

KONKURS MORSKI – NIESPODZIANKA
Centrum Wychowania Morskiego i Wodnego GK ZHP

KUPON 16 KONKURSOWY

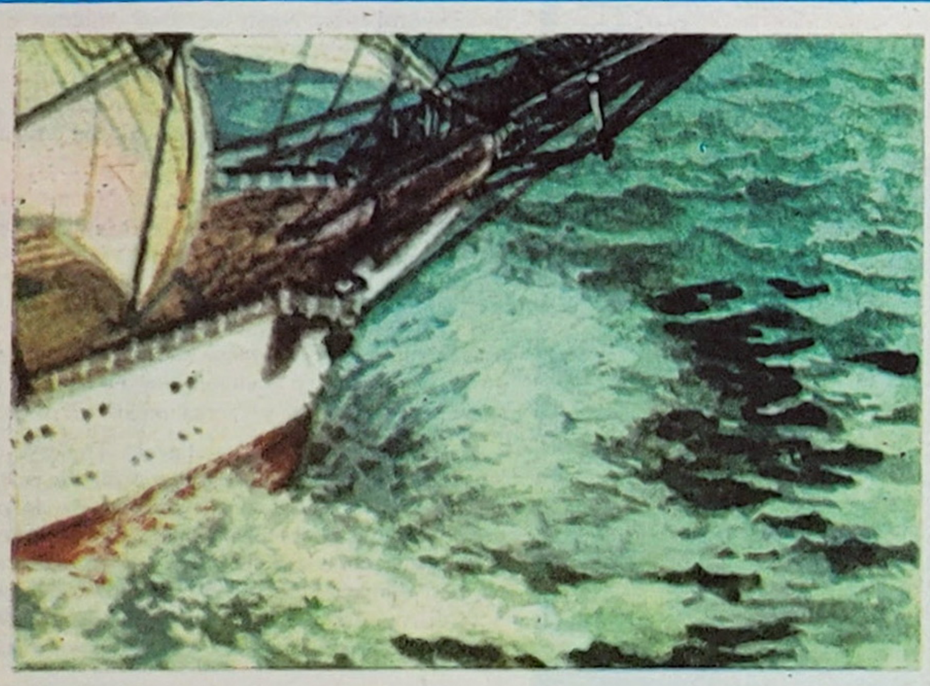

NR KONTA
NBP I Oddział, Gdańsk
Nr 150-2743-132
„DAR MŁODZIEŻY"

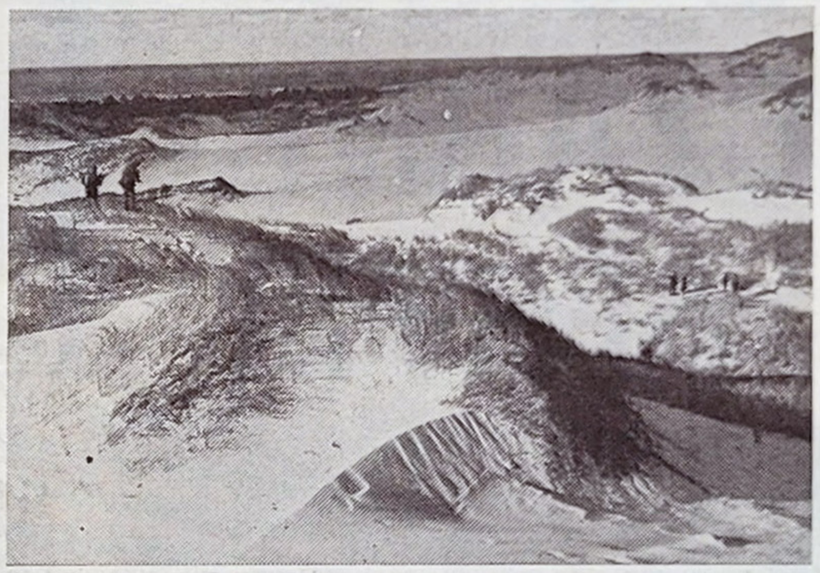

(CAF). Bagna, jeziora, piasek, który niemal niedostrzegalnie z roku na rok pochłania coraz to nowe połacie lasu, przysypane do połowy uschnięte kikuty drzew, ukształtowane w niezwykłe formy wydmy – wszystko to składa się na specyficzny krajobraz jednego z najoryginalniejszych polskich parków narodowych – Słowińskiego Parku Narodowego. Ten trzeci, co do wielkości, w Polsce park narodowy – jego powierzchnia wynosi 18.247 ha – utworzony został w 1967 roku, a nazwę swą zawdzięcza Słowińcom, którzy zamieszkiwali tu od wieków i co ważniejsze, przetrwali okres germanizacji tej ziemi. Każdego roku park odwiedzany jest przez dziesiątki tysięcy turystów, którzy przybywają tu, by podziwiać jego szczególne wartości przyrodnicze. A nie są one bagatelne, skoro trzy lata UNESCO uznało ten właśnie park za Światowy Rezerwat Biosfery.

A jednak parkowi grozi niebezpieczeństwo. Prowadzone w tym rejonie prace melioracyjne powodują stałe obniżanie poziomu wody w jeziorach i wody gruntowej. Jakie mogą być tego skutki – łatwo się domyślić: powolne zanikanie jezior, które i tak nie należą do najgłębszych, oraz obumieranie drzew i krzewów.

Równie groźne dla Słowińskiego Parku Narodowego są wysiewane na okoliczne pola nawozy. To one właśnie sprawiają, że plankton w jeziorach rozrasta się tak bardzo, iż uniemożliwia przebywanie i życie na nich ptactwu wodnemu, które od lat ma tu swoje miejsca lęgowe i wypoczynkowe. W trosce o zachowanie dotychczasowych zasobów parku, w Wojewódzkim Biurze Planowania Przestrzennego w Słupsku oraz w pracowni „Bizoprozet" w Koszalinie prowadzone są prace, mające na celu ograniczenie działania szkodliwych czynników, które zagrażają przyrodzie Słowińskiego Parku Narodowego. **(tok)**

Fot. CAF

Melioracja i nawożenie – niebezpieczeństwem

SŁOWIŃSKI PARK NARODOWY UNIKALNY ALE ZAGROŻONY

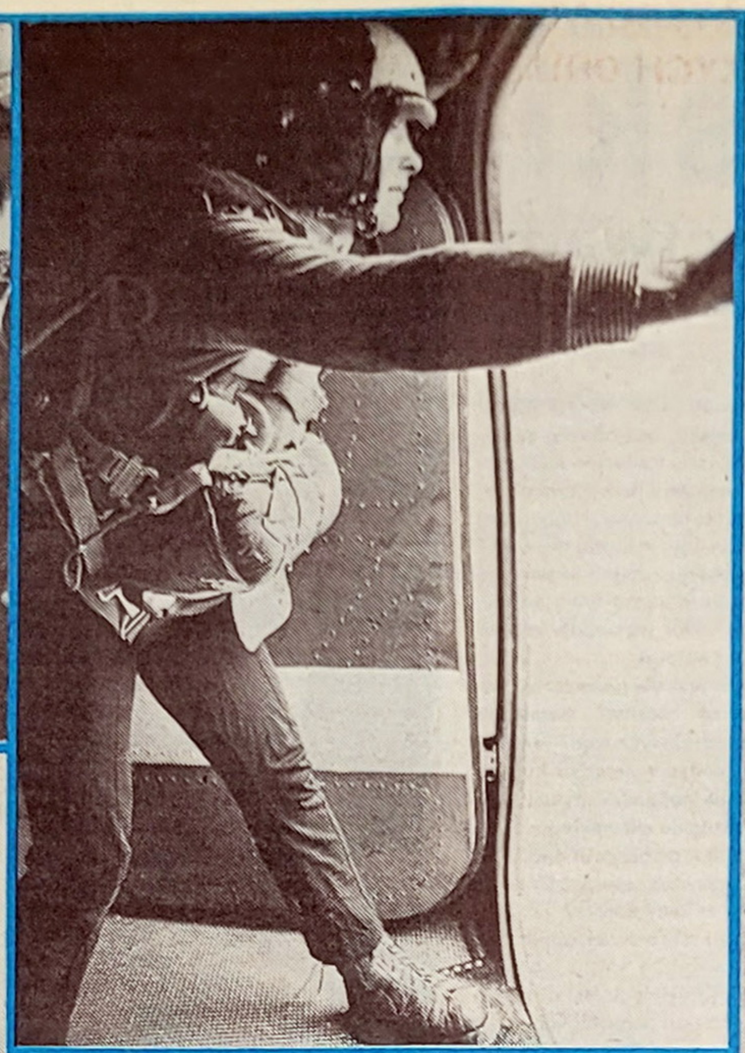

FOTOREPORTAŻ WOJCIECHA WRÓBLEWSKIEGO

... i skoczyć

Trzeba dużej odwagi, żeby stanąć w drzwiach samolotu, spojrzeć na ziemię z kilkusetmetrowej wysokości i... skoczyć.

Zdjęcia do reportażu zostały wykonane w czasie treningu sekcji spadochronowej Aeroklubu w Białymstoku.

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

OBCIACH

Kiedy rok temu wchodził do klasy, wychowawczyni nie musiała go przedstawiać. Znali go wszyscy. To był ten słynny ,,Bokser" z drugiej A. Z zeszłorocznej drugiej A, bo teraz z nimi miał powtarzać klaskę. Dlaczego słynny? Wiedzieli, że kiedyś był dobrym uczniem. Matematykę miał w małym palcu, z polskiego też nie był najgorszy... I nagle taka bomba! ,,Bokser" siedzi! Słyszeli, że ,,leciał" sobie z fizyki i z chemii. I to wcale nie dlatego, że było to ponad jego siły.

To było rok temu. Repeta miała być dla Darka nauczką, że zdolności to nie wszystko. Czas pokazał, że Darek – ,,Bokser" – wyciągnął z niej nieco inne wnioski.

★

– Pewnie, że świętym nie byłem. Ale kto dziś jest święty:

– Rada Pedagogiczna uznała jednak, że źle wpływasz na swoich młodszych kolegów, dajesz im zły przykład. Że palisz papierosy, czasem nawet pijesz. W dodatku afiszujesz się z tym i ich samych do tego namawiasz.

– Pan też to samo? No, dobra. Palę. Ale jestem już dorosły, mam osiemnaście lat! A ich do palenia nie namawiałem. Sami zaczęli. A młodsi to są oni tylko o rok. Z piciem to było tak. Pojechaliśmy na wycieczkę do Krakowa. Ja wziąłem z sobą wino. Takie zwyczajne. Nie chciałem pić sam. Pytałem się, kto chce. Chętnych było dużo. Potem to nawet razem kupiliśmy jedną butelkę. Tylko Pawełek, lizus, doniósł później dyrektorowi. Była wielka draka. Musiałem się tłumaczyć przy rodzicach i obiecać, że już nigdy więcej. Ale jakoś nie wyszło. I w końcu ktoś zobaczył mnie, gdy chwiałem się na ulicy. Wie pan już co było potem.

– Skrzywdzili cię?

– Mogli dać mi przynajmniej jeszcze jedną szansę.

Darek nie powiedział, że ową szansę dawano mu już wielokrotnie. Również wtedy, gdy liczba opuszczonych godzin lekcyjnych urosła do rekordowych rozmiarów.

Grzesiek, kolega z klasy: – Kiedy rok temu ,,Bokser" przyszedł do nas, właściwie niczym nie mógł nam zaimponować. No, może siłą. Ale teraz to siła tak się nie liczy jak w podstawówce. Spróbował inaczej. Chciał nas zaskoczyć stylem bycia. Papierosy, wino, opuszczanie lekcji... Wielu z nas złapało się na to. A poza tym, to całkiem dobrze grał w nogę i był w sumie niezłym kumplem.

★

– To o mnie panu tak powiedzieli? Komu ja miałem imponować? Im?

★

Wychowawczyni zdaje sobie sprawę, że to musiało się tak skończyć.

– Często rozmawiałam z Darkiem po lekcjach. Chociaż on traktował to zwykle jako kazanie. Choć czasem całkiem trzeźwo oceniał swoje postępowanie. Przyznawał mi rację, przyrzekał poprawę. A potem znów robił swoje. Wielokrotnie rozmawiałam z rodzicami Darka. I wie pan, co zwykle okazywało się? Że w domu nie było z nim prawie żadnych kłopotów. Tu, w szkole, był jego świat.

– Słuchaj, dlaczego ty aż tyle razy byłeś na wagarach?

– A pan nie chodził? Na pewno pan chodził. A ja... Raz człowiek opuścił jedną lekcję, trzeba było nadrabiać, nie chciało mi się. To potem znów nie przyszedłem. Pociągnęło się to kilka razy, aż w końcu nie opłacało się przychodzić, bo i tak bym pewnie niewiele zrozumiał.

– Naprawdę ci się nie opłacało?

– Nooo...

Darek niechętnie rozmawia o tym, co zaszło w ciągu ostatniego roku. Pewnie chciałby cofnąć czas o te dwanaście miesięcy. Chociaż sam chyba jeszcze nie bardzo rozumie, co wokół niego zaszło. Nawet Dorota, dziewczyna Darka, zmieniła się jakoś. Jest jej wstyd za niego. Tyle razy przekonywała ,,Boksera", żeby się zmienił. A teraz to ma żal do siebie, że była taka bezradna. Zaczyna zastanawiać się, czy jeszcze jej na nim zależy. I Darek to widzi. Ale on miałby spotulnieć jak baranek i przyznać jej, że miała rację? Co to, to nie!

Trzyma więc ,,Bokser" pozę, że właściwie nic się nie stało. Obciach, jakich wiele. Każdemu może się zdarzyć.

– Skąd to przezwisko?

– Kiedy gramy w nogę, często pomagam sobie ciałem, także rękami. Wie pan, w tłoku to różnie bywa.

Nowy rok szkolny rozpoczyna ,,Bokser" w innym mieście. W innej szkole. Przegrał rundę. Czy starczy mu sił, żeby wytrzymać następne?

ADAM JAROSZYŃSKI

Dotąd myślano, że panuje tam mróz

50 km nad równikiem zalega ciepłe powietrze powodujące wiatry w różnych rejonach Ziemi

ZSRR (PAP). Radzieccy uczeni pracujący w ramach międzynarodowego programu ,,Mezosfera" wykryli na wysokości ponad 50 km nad równikiem ciepłe warstwy powietrza. Dotychczas sądzono, że w lipcu na tej wysokości warstwy powietrza ulegają ochłodzeniu do minus 70 st.C. Uczestnicy radzieckiej ekspedycji na statku ,,Akademik Szirszow" odnotowali jednak wyjątkowo wysokie temperatury – aż plus 18 st.C. Wywołuje to znaczne spadki ciśnienia i rozchodzące się po świecie wiatry, których prędkość na radzieckim dalekim wschodzie dochodzi do 140 m na sekundę. **(tok)**

Jan Świderski:

ludzie są zmęczeni dziwactwami jakie dzieją się na scenie

Rozmawiamy z Janem Świderskim, znakomitym aktorem i reżyserem polskiego teatru.

– Ostatnio odniósł pan wielki sukces jako inscenizator i odtwórca głównej roli w „Panu Geldhabie" Fredry, w Teatrze Polskim. W związku z tym pytanie: jaki jest pański stosunek do twórczości Fredry?

– Uważam, go za najznakomitszego polskiego komediopisarza i trochę mi nawet przykro, że w ciągu 43 lat pracy w teatrze wystąpiłem w niewielu inscenizacjach jego sztuk. Grałem wprawdzie trzy role w „Zemście", występowałem w „Ślubach panieńskich", w „Mężu i żonie" i kilku innych komediach, reżyserowałem też parę jego utworów. Jeśli jednak porówna się mój życiorys z życiorysem aktorów: francuskiego, grającego komedie Moliera, czy angielskiego, występującego w dramatach Szekspira, to wydaje mi się, że nie wywiązałem się w pełni z obowiązków wobec czołowego przedstawiciela naszej dramaturgii narodowej.

– Role fredrowskie mają długie i piękne tradycje w polskim teatrze. W jednym z wywiadów powiedział pan, że nie wolno odrywać się, zwłaszcza w sztuce aktorskiej, od tradycji. Czy dotyczy to również ról fredrowskich?

– Stosunek do tradycji to sprawa złożona. Z jednej strony manifestujemy szacunek do niej, z drugiej – zdajemy sobie sprawę, że sztuka aktorska ulega przemianom. Jestem zdania, że próba naśladowania kreacji, o których wiemy z przekazów, nie miałaby obecnie sensu i byłaby z pewnością odrzucona przez współczesnego widza. Tak samo jeśli chodzi o sztukę mówienia wiersza fredrowskiego. Uważam, że nie należy stawać w miejscu, do którego doprowadziła nas tradycja, ale rozwijać ją. Jeśli więc tradycja przekazała nam, że aktorzy odstępowali w „Zemście" w ok. 30 proc. od prawideł wersyfikacji, my staramy się mówić w 100 proc. zgodnie z jej kanonami. Co się tyczy spraw charakteryzacji, to jeśli zostały jakieś przekazy w tej dziedzinie, nie widzę potrzeby ich zmian. Tak więc szanujemy tradycje tam, gdzie to jest słuszne, zgodne z naszym spojrzeniem na świat, na sztukę teatru.

– Czy uważa pan, że reżyser powinien być wierny autorowi i jakie mogą być granice ingerencji reżysera?

– Reżyser powinien być wierny autorowi, ściślej – idei zawartej w utworze. Moim pragnieniem jest ukazanie dzieła Fredry, a nie epatowanie publiczności własną pomysłowością na kanwie jego twórczości. Jestem świadomy, że w tym dążeniu występuję przeciw obowiązującej obecnie modzie. Będę jednak nadal reprezentował to stanowisko, bez obawy, że zostanę nazwany tradycjonalistą. Ludzie są zmęczeni dziwactwami, jakie dzieją się na scenie. Najbardziej cenię reżyserię, w której nie widać ręki reżysera. Jego ingerencję uważam za słuszną tylko wtedy, kiedy np. aktor występuje wbrew intencjom autora.

– Czym jest dla pana słowo padające ze sceny, zwłaszcza w utworach klasycznych? Tyle słyszy się biadań o upadku kultury słowa i nie najlepszej dykcji młodego pokolenia aktorskiego...

– Jedną z przyczyn mego zafascynowania dramaturgią rodzimą jest fakt, że tacy autorzy, jak Słowacki czy Fredro stwarzają dla aktorów znakomitą szkołę posługiwania się językiem polskim. Jest to język wolny od naleciałości, wpływów francuszczyzny, germanizmów, rusycyzmów, cieszy każdego Polaka. Trzeba dużego pietyzmu, aby słowo to przekazać słuchaczowi w sposób nie skażony wpływami współczesnych dialektów. Nad Fredrą pracują nie tylko na scenie, ale i w szkole teatralnej. Dykcja i kultura słowa u młodych nie jest doskonała, może jeszcze zbyt mało czasu poświęcamy tym problemom. Sam staram się na co dzień mówić poprawnym językiem polskim, ponieważ język rodzimy uważam za filar tego, co nazywamy kulturą narodu. Sądzę, że teatr jako instytucja ma specjalny obowiązek, aby na każdym etapie naszej historii czynić wszystko dla utrzymania czystości mowy ojczystej.

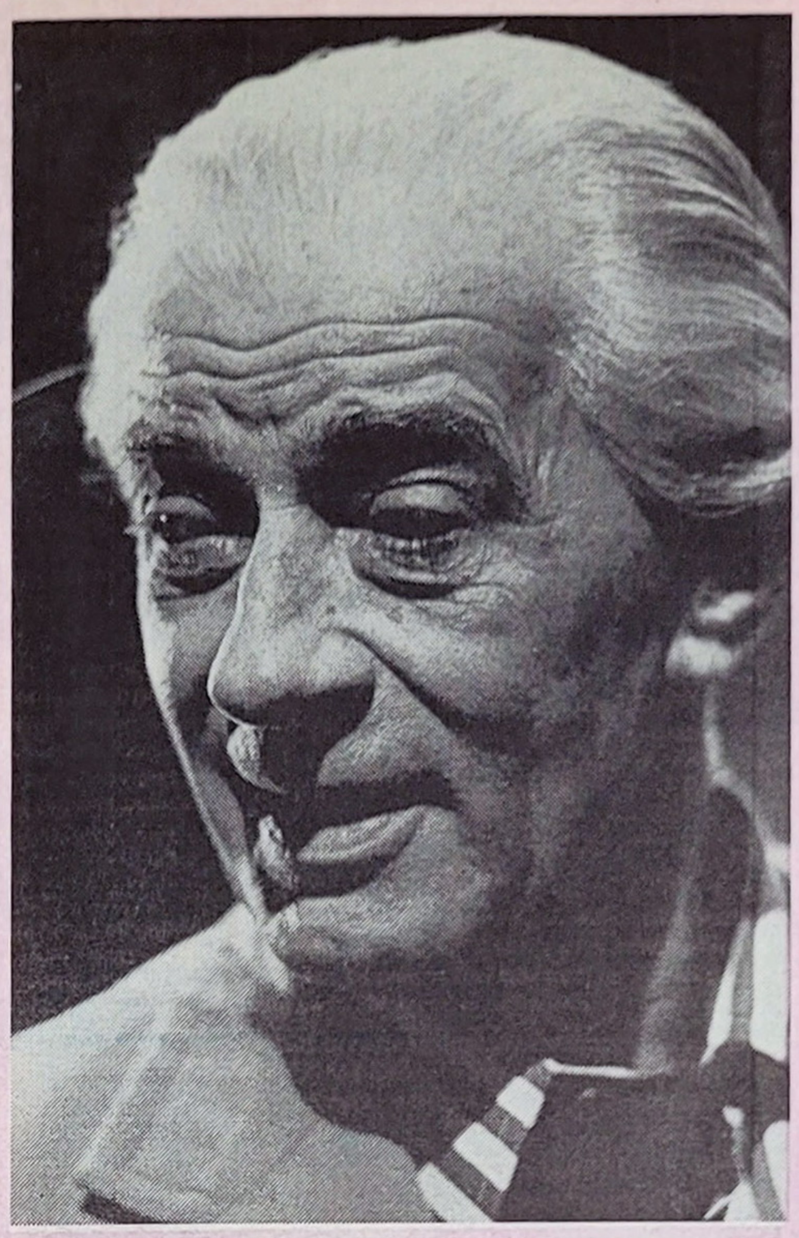

– W jakim kierunku – zdaniem pana – zmierza ewolucja gry i pozycji aktora we współczesnym teatrze?

– Daje się tu zauważyć zwrot w kierunku aktora, odejście od takiej sztuki teatru, w której inscenizator był główną postacią. Nazywam to powrotem do humanizacji sztuki teatru. Teatr, który wypowiada swe idee poprzez żywego człowieka, aktora, wydaje mi się najcenniejszy.

Pyta też pani jak ewoluuje styl gry aktorskiej. Uważam, że człowiek współczesny jest człowiekiem wstydliwym, wstydzi się uzewnętrzniać swe uczucia. Główną cechą tej ewolucji jest dążenie, aby przy najbardziej oszczędnych środkach ukazać pełnię osobowości człowieka. Aktorstwo się zmienia, jego dążeniem jest ukazanie człowieka takim, jakim jest naprawdę, a nie jakiego sobie wyobraża widz.

– Nad czym pan obecnie pracuje i jakie ma pan plany urlopowe?

– W tej chwili w Teatrze Ateneum uczestniczę w próbach sztuki Jerzego S.Sity „Polonez", którą reżyseruje Bohdan Korzeniewski. Gram rolę Rzewuskiego. Jeśli chodzi o urlop to nie nęcą mnie zagraniczne wyjazdy, nie szukam słońca nad Adriatykiem. Kocham nasze jeziora i najchętniej spędzam nad nimi urlop. Moim hobby jest wędkarstwo.

Rozmawiała:
JANINA KAPUŚCIŃSKA (PAP)
Fot. **CAF**

GWIAZDOZBIÓR

DOM MODY świata młodych

SPODNIE W KRATĘ? KTO WIE...

Nie powiem, żeby mi się te spodnie, które aktualnie nam miłościwie w modzie panują, najbardziej podobały, ale... Kto wie, w końcu do wszystkiego człowiek może się przyzwyczaić i wcale w związku z tym nie jest wykluczone, że za parę miesięcy o tych samych spodniach powiem, że – są śliczne. Kto wie, kto wie...

Jak na dzisiaj jednak, uczucia mam mieszane. Bo po pierwsze fason. Sygnalizowałam go już niejednokrotnie (góra luźna, ale bez nadmiernej przesady, nogawki zdecydowanie zwężające się ku dołowi), ale w tej chwili ustalił się on już na dobre. Bo po drugie – deseń. Strasznie przebojowe zaczynają być takie właśnie spodnie w kratkę (kratę). Bo po pierwsze i po drugie razem wzięte – jest to kombinacja... hm, szalenie ryzykowna. Już sam fason jest taki, że nawet najzgrabniejsza i najsmuklejsza dziewczyna wygląda w takich spodniach jak baryła, a w każdym razie takie się ma optyczne wrażenie. No a deseń, czyli kratka (krata), wrażenie to jeszcze dość znacznie pogłębia. Stąd moje wątpliwości, którymi się z Wami uczciwie dzielę.

Ale druga strona medalu jest taka, że jeśli już spodnie, to tylko takie właśnie. No, krata nie jest konieczna, mogą być (i równie modne będą, przysięgam) gładkie, ale fason – to tylko taki właśnie. Oczywiście pewne modyfikacje są jak najbardziej możliwe. W pupie mogą być luźniejsze albo obciślejsze, całkiem opięte jednak nie. A nogawka może się zwężać równomiernie już od samej góry, albo od kolana dopiero, albo wcale się nawet nie zwężać, lecz dopiero przy kostce jest wzięta w ciasny mankiet lub w gumkę. No i jeszcze jedna rzecz, ważna bardzo – jesień się zbliża, a jesienią, moje panie, to jednak nie ma jak spodnie!

W sprawie kraty (tej awangardy spodniowej), moje zdanie jest natomiast takie. Że dziewczyna, która czuje się grubawa, zrezygnować z niej jednak powinna albo poprzestać na krateczce szalenie dyskretnej, dyskretnej i kolorystycznie i rozmiarowo. Natomiast osoba smukła i w miarę wysoka, to jeśli ją ku temu kusi – pal sześć, czemu nie?! I tak się wygląda baryłkowato i tak, więc nie ma już sensu rezygnować z fantazji, nawet jeśli ta fantazja kosztuje... optyczne 3–4 centymetry więcej w biodrach. Oczywiście od charakteru człowieka rzecz zależy i od tego, co człowiek lubi. Ale jeśli lubi ciuchy jaskrawe i rzucające się w oczy, to podrzucam uwadze takiego kogoś spodnie w wielką szkocką kratę – takie, jak na jednym ze zdjęć.

Tym bardziej sprawa to godna uwagi, że takie duże i jaskrawe szkockie kraty są w ogóle szalenie modne. I nie bez znaczenia jest przy tym fakt, że można je bez specjalnych kłopotów w naszych sklepach dostać – i w postaci wełny, i elanowełny, i elano-bawełny też.

Szerzej o szkockich kratach – za tydzień. Na razie – cześć!

RIUSZKA

ULTRADŹWIĘKOWY SKALPEL – ZAPOWIEDŹ BEZKRWAWYCH OPERACJI

ZSRR (PAP). Moskiewscy naukowcy i inżynierowie z Instytutu Naukowo-Badawczego Prądów Wysokiej Częstotliwości opracowali urządzenie chirurgiczne UZUM-1, w którym tradycyjny skalpel zastąpiony został narzędziami ultradźwiękowymi. Mogą one szybko łączyć tkanki kostne i rozcinać wszystkie rodzaje tkanek biologicznych. Zastosowanie tych narzędzi pozwala znacznie obniżyć utratę krwi w czasie operacji, a także zmniejsza prawdopodobieństwo komplikacji pooperacyjnych. Niewielkie rozmiary ultradźwiękowych narzędzi dodatkowo ułatwiają pracę chirurgom i skracają czas operacji.

Urządzenie składa się z generatora fal ultradźwiękowych, zestawu narzędzi i bloku chłodzenia. Zewnętrznie same narzędzia ultradźwiękowe podobne są do używanych w gabinetach stomatologicznych wierteł do borowania zębów, tyle że mają ostrze lub cienką igłę. Gdy chirurg przykłada taki „skalpel" do tkanki, impulsy elektryczne o częstotliwości ultradźwiękowej przekształcają się w akustyczne i przenoszą się na ostrze, które drgając z niezauważalną dla oka amplitudą rozcina tkankę biologiczną. **(tok)**

PIOTR

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

„Lekarstwo" na jego biedę znalazł trener. Napisał mu na kartce, że chociaż strasznie tępa z niego głowa, to tempo na bieżni ma dobre. Zrozumiał. Dalej jakoś poszło, a kiedy z ostatniego dyktanda dostał trzy plus, trener zabrał go na ryby.

Przesiedzieli całą sobotę i niedzielę nad wodą. Spali w namiocie. Do domu wrócili bardzo głodni, a kiedy ojciec Piotra zapytał jak udał się połów, obaj mieli niewyraźne miny. Dopiero potem Piotr starał się wyjaśnić, że widocznie ryby jeszcze nie biorą, bo skoro przez kilka godzin spławik nawet nie drgnął, musiało w tym coś być.

Potem znowu był trening, męczący, wyciągający wszystkie siły. Tempo ogromne. Do bólu mięśni. Tygodniami, miesiącami. Dalej zawody międzyszkolne. Pełny sukces. Wakacje i obóz sportowy. Wrzesień i znowu łączenie nauki ze sportem.

I nagle... wielki strach. Lekarz szkolny odkrył jakiś podejrzany szmer w sercu. Skierowanie na badania specjalistyczne. Decyzja zapadła nieodwołalnie. Nie wolno skakać. Nie wolno uprawiać wyczynowo sportu. Skończyło się sportowe szaleństwo. Może cisnąć dres na samo dno szafy, przestać myśleć o bieganiu i skakaniu. Nie wolno. Trzeba pogodzić się z decyzją.

Początkowo było pusto. Bardzo pusto. Wychodził ze szkoły i tak jakoś przypadkiem trafiał na boisko. Stawał za siatką, za krzakami bzu. Nie chciał, aby trener go widział. Potrafił stać tak całymi godzinami i patrzeć na ćwiczących kolegów. Bardzo chciał być razem z nimi. Przygotować się do kolejnych zawodów. Wieczorami jak zwykle pakował do torby dres i trampki. Kręcił się na ostatniej lekcji i z niecierpliwością zerkał na zegarek. Poganiał w duchu wskazówki, bo przecież zaraz po dzwonku będzie musiał wciągnąć dres i jeszcze przed przyjściem trenera zdąży zrobić wstępną rozgrzewkę. Dzwonek. Chwyta torbę i... klap, z powrotem na ławkę. Na boisku nikt na niego nie czeka. Wcale nie musi się spieszyć. Może spokojnie iść do domu, przez park. Dłuższą drogą. I tak zdąży na obiad.

Piotr długo chodzi smutny. Jurek namawiał go, aby wrócił do swoich żuków, ale kręcił przecząco głową. Nie chciał. Przestały go interesować. Wkrótce nadeszły wakacje. Poszedł do liceum. Jeszcze przedtem był na obozie harcerskim, w lesie. Do najbliższej wioski było kilka kilometrów. Wąską ścieżką, dookoła jeziora. Może właśnie wtedy pomyślał, że na sporcie wszystko się nie kończy, że jeżeli zechce, jeżeli tylko...

– Wiesz – zwierzył się – nie przypuszczałem nawet, że potrafię malować. Z szuflady wyciągnął plik kartek. Rysunki jeszcze nieporadne. Ale znowu błyszczą mu oczy. Zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy trener powiedział: „jesteś dobry, powinieneś dużo ćwiczyć." Na samym końcu portret dziewczyny. Piotr niezdarnie próbuje go schować przede mną. Udaję, że nie widzę.

ANNA ŻYTKA

Dziś sporo wiadomości o największej planecie Układu Słonecznego – Jowiszu. Najbardziej kontrowersyjnym materiałem jest opracowanie Andrzeja Sitarza, który za „Uranią" podaje hipotezę jakoby Jowisz był w przeszłości gwiazdą. Najbardziej ważkim argumentem przemawiającym za tą hipotezą jest fakt, że planeta ta wypromieniowuje dwa razy więcej energii niż otrzymuje jej od Słońca. Mimo iż trudno wyjaśnić ten fakt inaczej niż hipotezą „wygasłej gwiazdy", wewnątrz Jowisza mogą zachodzić procesy dziś nam jeszcze nie znane. Stąd też z ostatecznym wyrokowaniem należy się wstrzymać.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

JOWISZ WYGASŁĄ GWIAZDĄ?

Kilka miesięcy temu ukazał się w „Tomiku" artykuł o hipotezie, która zakładała, że Jowisz jest wygasłą gwiazdą. Przytoczę teraz oparte na wynikach badań Jowisza przez sondy Voyager argumenty, które przemawiają za słusznością hipotezy.

1. Jowisz jest nietypowym ciałem niebieskim. Jego masa jest 2,5 raza większa od łącznej masy pozostałych planet Układu Słonecznego. Jego rozmiary również są imponujące: promień równikowy wynosi 71 398 kilometrów, a biegunowy 66 700 km (promień mierzony jest od geometrycznego środka planety do poziomu atmosfery, na którym ciśnienie wynosi 1 bar). Promień Słońca jest dziesięć razy większy, co jest niewielką różnicą, jeśli wzięłoby się pod uwagę gwiazdy setki razy mniejsze od naszej.

2. Sonda Voyager dokładnie zbadała temperaturę Jowisza. Na powierzchni chmur wynosi ona ok. 170°K, a na wysokości 50 km (ciśnienie 0,1 bara) ok. 100°K. Temperatura efektywna wynosi natomiast 130°K. Według obliczeń powinna ona być jednak o 25°K mniejsza. Ta różnica oznacza, że Jowisz wypromieniowuje dwa razy więcej energii niż otrzymuje. Można wyciągnąć więc wniosek, że na Jowiszu zachodzą procesy podobne do tych, które zachodziły na nim w dalekiej przeszłości, gdy był gwiazdą, lub że są to „resztki" energii, która wtedy powstawała, zmagazynowane i wydzielające się w naszych czasach.

3. Jowisz posiadający masę $1{,}9 \cdot 10^{27}$ (średnia gęstość = 1,35 k/cm³ dla porównania – średnia gęstość Słońca: 1,41 g/cm³) składa się głównie z wodoru i helu – w proporcjach 5:1 według masy – czyli podobnie jak na Słońcu. (Dla uzupełnienia – w atmosferze wykryto też ślady wody, metanu, amoniaku).

4. Jowisz posiada bardzo silne pole magnetyczne o natężeniu od 3 do 14 erstedów (dla porównania ziemskie pole magnetyczne na powierzchni wynosi 0,3–0,8 ersteda). Związane to jest pośrednio z szybkim obrotem osi – w 9 godzin 55 minut i 29,75 sek (obrót ten daje znaczne spłaszczenie, które wynosi 0,0648).

Te podobieństwa pomiędzy Słońcem a Jowiszem mogą świadczyć, że te ciała niebieskie powstały niemal jednocześnie z tego samego obłoku pierwotnego.

Biorąc pod uwagę fakt, że Jowisz jest podobny do Słońca i powinien zawierać proporcjonalną ilość pierwiastków ciężkich, wysunięto hipotezę, że jego jądro jest żelazo-krzemianowe. Gęstość jądra wynosiłaby wtedy około 10 k/cm³, a temperatura w jego wnętrzu około 25 000°K.

Wiadomości o Jowiszu zaczerpnąłem z artykułu „Jowisz – planeta olbrzym", którego autorem jest T. Kwast, a artykuł ukazał się w majowej „Uranii".

Andrzej Sitarz – członek PTMA, ul. Ujejskiego 5/9, 30-102 Kraków

JUŻ PIĘTNASTY KSIĘŻYC JOWISZA

Agencja Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej (NASA) poinformowała o odkryciu 15 już z kolei satelity Jowisza. Satelita został odkryty przez dr. Stephena P. Synnotta z Instytutu Napędu Odrzutowego w Pasadenie (Kalifornia). Przeglądając zdjęcia wykonane przez „Voyagera-1" z 5 marca 1979 roku, na 4,5 godziny przed osiągnięciem najbliższej pozycji względem Jowisza, zauważył on dziwny postępujący cień na obliczu planety. Po przebadaniu innych materiałów dostarczonych przez tandem „Voyger 1–2" przypuszczenie, iż 15 satelita Jowisza istnieje na pewno, okazało się słuszne. Dr Synnott znalazł dowody istnienia satelity na 7 innych zdjęciach, na których ukazał się on w postaci cienia na tle tarczy Jowisza. Na podstawie otrzymanych i opracowanych materiałów dr Synnott obliczył rozmiary i orbitę „nowego" satelity. Księżyc ten, który tymczasowo otrzymał miano 1979 – J-2 mierzy około 70–80 km średnicy i obiega Jowisza w 16 godz., 16 min, w odległości 150 240 km od macierzystej planety. Tak więc liczba satelitów w Układzie Słonecznym wzrosła z 36 do 37. Należy jeszcze dodać, że jest to już drugi satelita odkryty przez sondy „Voyager", które kontynuują swą podróż do planet zewnętrznych naszego UKładu. W listopadzie 1980 roku i w sierpniu 1981 roku zbliżą się do Saturna. Miejmy więc nadzieję, że Saturn nie pozostanie dłużny Jowiszowi pod względem satelitów i będzie tak łaskaw i ukaże nam swe prawdziwe oblicze.

A oto aktualny zestaw wszystkich księżyców w Układzie Słonecznym: Merkury i Wenus nie mają księżyców. Ziemia – jeden, Mars – dwa: Phobos i Deimos. Jowisz – piętnaście: Amaltea, Io, Europa, Ganimedes, Callisto, Leda, Himalia, Elara, Lysithea, Ananke, Carme, Pasiphae, Sinope, 1979 – J-1, 1979 – J-2. Saturn – jedenaście: Janus, Mimas, Enceladus, Tetyda, Dione, Rhea, Tytan, Hiperion, Japetus, Phoebe, Janu. Uran – pięć: Miranda, Ariel, Umbriel, Tytania, Oberon. Neptun – dwa: Tryton, Nereida. Pluton – jeden: Charon.

Krzysztof Robak
ul. Okrzei 2a/2
41-803 Zabrze

PIERŚCIEŃ JOWISZA

1. *Jowisz z pierścieniem, którego kształt i wielkość narysowano na podstawie analiz komputerowych*
2. *Voyager na tle tarczy Jowisza*

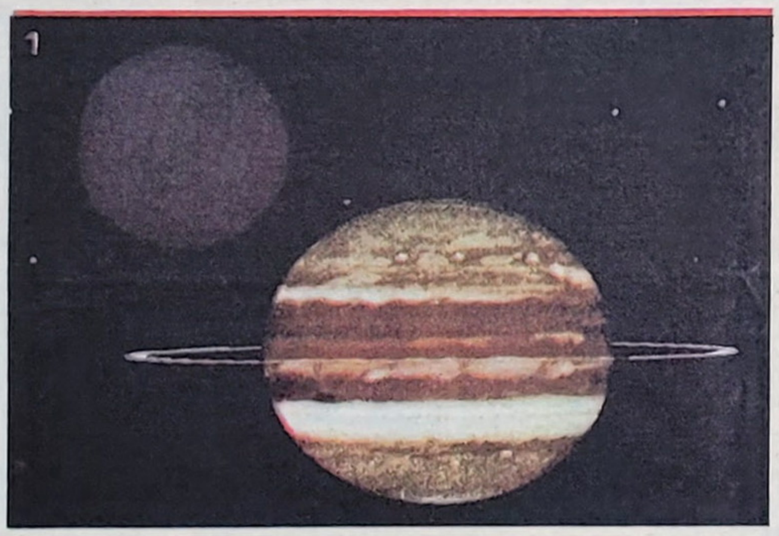

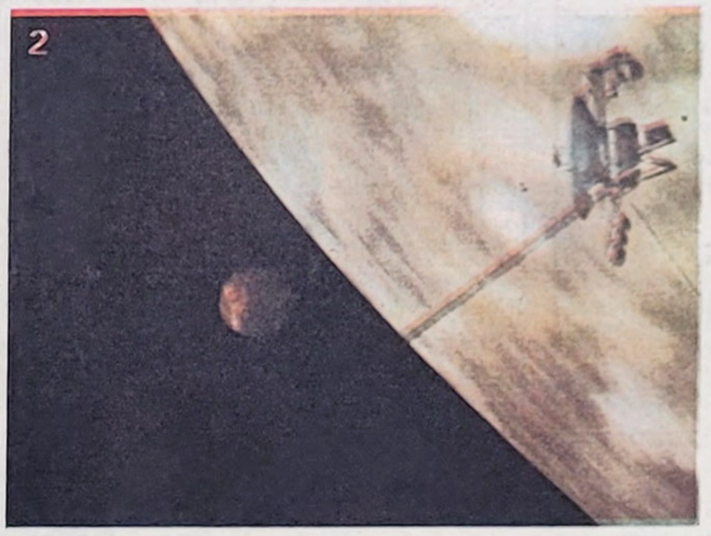

Jedną z rewelacji astronomicznych roku 1979 było odkrycie pierścienia Jowisza. Dotychczas znano pierścienie wokół planet Saturn i Uran. Odkrycia jowiszowego pierścienia dokonała amerykańska sonda międzyplanetarna „Voyager 1" w marcu 1979 r. Sonda przekazała na Ziemię zdjęcia Jowisza z różnych odległości. Rozpoznano na nich pierścień o grubości 30 km, i szerokości ponad 9 tys. km.

Pierścień ten znajduje się w odległości ponad 57 tys. km od wierzchniej warstwy obłoków otaczającej Jowisza, a ze względu na niewielkie rozmiary był niewidoczny z Ziemi. Składa się on z drobnych okruchów materii kosmicznej, m. in. odłamków skał i bryłek lodu o rozmiarach od kilku do kilkuset metrów. To zbiorowisko okruchów utrzymywane jest przez grawitacyjne pole Jowisza. Odłamki kosmicznej materii tworzące pierścienie Saturna i Urana są znacznie większe, dlatego pierścienie te można było zaobserwować z Ziemi.

Wykorzystanie i zagospodarowanie przestrzeni i innych ciał niebieskich

W dniach 16–22 września 1979 r. w Monachium odbył się 30 Kongres Międzynarodowej Federacji Austronautycznej. Program kongresu był bardzo bogaty. Odbyło się bowiem 11 sympozjów, konferencji i kolokwiów naukowych J.A.F. (Międzynarodowej Federacji Astronautycznej), Międzynarodowej Akademii Astronomicznej (J.A.A.) i Międzynarodowego Instytutu Prawa Kosmicznego. Mnie osobiście zainteresowało jedno sympozjum. Mianowicie sympozjum „Kosmiczne systemy transportu". Przedyskutowano na oddzielnych sesjach napędy stosowane obecnie oraz przewidywane w bliskiej, jak również dalszej przyszłości. Przegląd aktualnej technologii oparto na omówieniu stosowanych dziś stałych i ciekłych materiałów pędnych japońskiej rakiety H-1, poszczególnych stopni przygotowywanej rakiety europejskiej „Ariane", planowanej ewolucji wahadłowca oraz plazmowego silnika odrzutowego. Omówiono też napędy przyszłości, jak użycie laserów (referaty z ZSRR i USA), silnik pulsacyjny przy zastosowaniu zarówno rozszczepiania, jak i syntezy jąder atomowych, napęd przy użyciu mikrobomb termojądrowych. A także przy zastosowaniu księżycowego tlenu do napędu rakiet.

Oddzielną grupę zadań i zagadnień stanowiły problemy związane z przelotem rakiet przez atmosferę Ziemi, jak również z wejściem w atmosfery planety m.in. Jowisza. Zaproponowano wysyłanie długo utrzymujących się sond balonowych w stratosferę Ziemi. W czasie końcowej sesji zajęto się tematyką transportu z powierzchni Ziemi na jej orbity satelitarne i przewidywaniami rozwoju tej komunikacji do roku 1990. Omówiono projekt statku załogowego „Hermes", ładunki rakiety „Ariane" dla różnych orbit oraz wahadłowca. Przewiduje się również zbudowanie na orbicie okołoziemskiej kilku słonecznych elektrowni satelitarnych (S.E.S.).

Jarosław Patrzałek
ul. Pomorska 71/73 m 61
25-343 Kielce

– Ale nie wcześniej niż na wiosnę! – zastrzegł Miles. – Zimą nie sposób wędrować przez góry z tylu chorymi i tylu kobietami i dziećmi...

– Dobrze! – zgodził się Żółty Byk w imieniu Wodza Józefa.

Był to szósty dzień oblężenia. Niebo wciąż mroczyło się od złowieszczych obłoków, zły wicher niemiłosiernie wył, mróz wciąż ścinał ludziom krew w żyłach, gdy Wódz Józef wyjechał z okopu do Amerykanów na koniu w towarzystwie pięciu pieszych wojowników.

W połowie drogi do stanowisk Długich Noży wyszli mu naprzeciw generał Howard i pułkownik Miles. Mieli twarze poważne, przejęte uroczystą chwilą. Byli najedzeni, w mundurach paradnych, co stało w okrutnym przeciwieństwie do półnagiego przeciwnika. Wódz Józef przybywał jak nędzarz w obszarpanych łachach, ale z głową podniesioną.

Zszedł z konia i dalej postępował pieszo, niosąc w obydwóch rękach przed sobą swój karabin, jakby niósł nieszczęsny dar. Gdy zbliżał się do dwóch Amerykanów, chciał karabin wręczyć Howardowi jako starszemu stopniem, lecz ten wskazał na Milesa: to pułkownik miał przyjąć karabin i poddanie się Nez Percé.

W czasie tego aktu wojownicy Wodza Józefa zaczęli wychodzić z okopów. Była ich garstka, niespełna stu walecznych, do tego większość z ranami, ostatni szczątek dumy szczepu Nez Percé. Tak samo jak ich wódz, szli półnago, wielu było boso, każdy niósł swój karabin przed sobą. Za wojownikami wytoczyli się z obozu starcy, kobiety, dzieci, chromi; wszyscy z wyjątkiem tych, którzy skonali w obozie tej nocy.

Wojownicy, zatrzymawszy się niedaleko za swym wodzem, zaczęli składać na ziemię broń, jaką przynieśli. Ziemia była od mrozu twarda jak kamień, więc uderzenia żelaza brzmiały głucho i żałośnie jak jęczenie.

Ale tylko dla przeciwników Indian składanie broni brzmiało radośnie. A szczególnie radośnie dla pułkownika Milesa: wiedział, że nie minie go rychły awans na generała, pomimo młodego wieku. Czekała go chwalebna przyszłość, więc nie mógł powstrzymać triumfalnego uśmiechu. Więcej: Wodza Józefa i tych czterystu jego nędzarzy Miles ogarniał teraz ciepłym, a nawet przyjaznym wzrokiem. On ich pokonał!

Wszystko to odbywało się dotychczas w zupełnym milczeniu, nikt słowa nie wyrzekł. Gdy Wódz Józef oddał karabin, dopiero się odezwał. Ale nie do Amerykanów. Odwrócił się w stronę swoich i do nich przemówił, jak gdyby tłumacząc to, co się stało:

– Jestem zmęczony wojowaniem tak samo jak wy. Większość naszych wodzów zginęła. Zwierciadło nie żyje. Tuhulhulzot nie żyje. Prawie wszyscy starzy druhowie nie żyją. Ten, który wiódł młodych wojowników, Olikut, nie żyje. Jest zimno, a nam brak koców. Dzieci marzną nam na śmierć. Nikła część naszego szczepu zdołała się uratować, ale nie wiadomo, czy żyją, może giną z mrozu i głodu. Mam dzieci, ale nie wiem, gdzie są i czy żyją. Słuchajcie mnie, moi wojownicy, moi ludzie! Jestem zmęczony! Moje serce jest chore i smutne. Od tej chwili, kiedy to słońce się kryje za chmurami, już nigdy nie chcę wojować! Już nigdy...

W rozgardiaszu i zamęcie, jaki zapanował w następnych godzinach, Białemu Ptakowi udało się wymknąć na wolność, a wraz z nim blisko trzydziestu wojownikom. Prawie wszyscy byli pokryci ranami. Towarzyszyło im siedmdziesiąt kobiet i dzieci. Wszyscy oni dotarli do Kanady.

Od wielu miesięcy nie było we wszystkich gazetach amerykańskich tylu sensacyjnych wiadomości, jak następnego dnia po poddaniu się Wodza Józefa.

ZASŁUŻONY KONIEC ZBÓJECKIEGO MASONA

Nas, którzyśmy się poddali, było przeszło czterystu, w tym mniej niż stu wojowników, przeważnie rannych, resztę zaś, kobiety, dzieci, nielicznych starców, trawiły wszelkie choroby z głodu, mrozu, znużenia.

Serca nasze były „chore i smutne", jak mówił Wódz Józef i chociaż Amerykanie nie skąpili nam w pierwszych dniach jedzenia ani koców, przeżywaliśmy posępne dni. Byliśmy ludźmi, którzy utracili swą wolność i świętą ziemię, i wszystko to, co nam dotychczas było potrzebne.

Cdn.

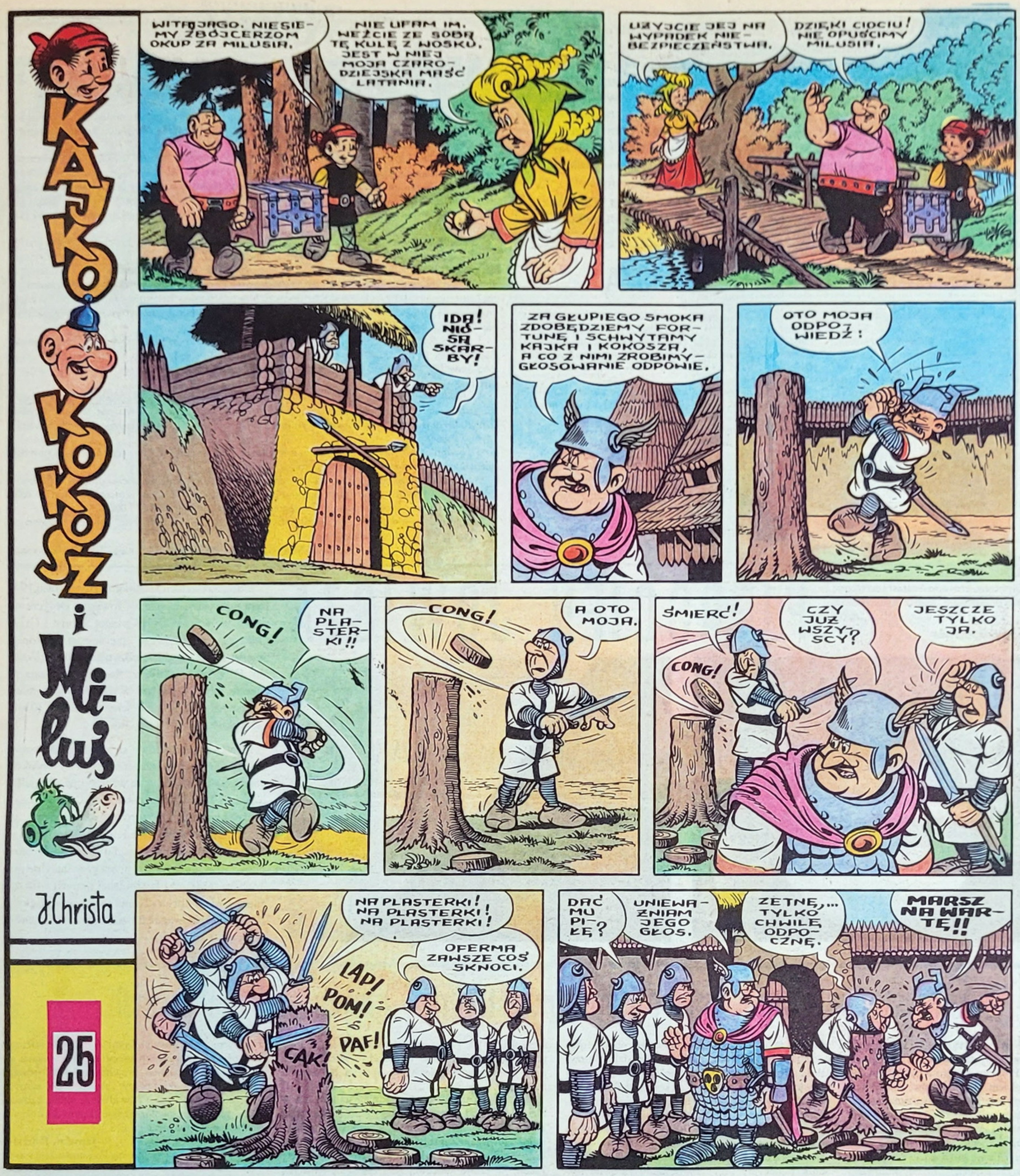

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności
z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA–RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

Zam. 5478/G

O-45

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- Szczęśliwy czas wakacyjnych wędrówek, spotkań, romantycznych przygód i powrotów – nieodwracalnie za nami. Ale wspomnieniami żyć będziemy jeszcze długo... My, w „ŚM", zaczynamy już! Przeczytajcie więc artykuł pt. „Duch badacza się budzi".
- Zielony Purchel jak zawsze niezawodny. Obiecał PTAKI-DZIWAKI? – Macie je więc „jak w banku".
- W cyklu „Bohaterowie naszych drużyn" kolejny odcinek pt. „Dzieje jednej dziewczyny".

– Ach, ach, co za łaska!... – odezwały się wśród naszych wojowników szydercze uwagi.

– Myśmy tylko się bronili! – oświadczył dobitnie Wódz Józef. – Uciekaliśmy, a oni zaciekle nas doganiali! Chcieli nas chwytać i dlatego zginęli...

Po chwili milczenia Wódz Józef zapytał:

– Czy to wszystko, co macie nam do powiedzenia?

– Nie... Obydwaj, generał i pułkownik, dali do zrozumienia, że jeśli zaraz się poddacie i broń złożycie, to z pewnością wrócicie do ojczystego Idaho, do rezerwatu w Lapwaj, gdzie was powitają wasi bracia, tam szczęśliwie żyjący...

– Szczęśliwie żyjący – sarknął Biały Ptak z powątpiewaniem.

Kapitan John i Stary Jerzy zbyli cierpką uwagę milczeniem.

– Mówicie, że Jankesi odeślą nas do Idaho – z pewnością, a więc tylko prawdopodobnie, nie na pewno... – podjął Wódz Józef poprzedni wątek.

– Pułkownik Miles wyraźnie oznajmił nam – mówił Kapitan John – że dołoży starań, byście wszyscy jak najszybciej wrócili do Idaho...

– Czy tak naprawdę mówił?

– Przysięgam, że tak mówił: dołoży wszelkich starań.

Przysłuchiwały się temu także kobiety i nadzieja wstępowała w ich zbolałe serce. Wszyscyśmy w owym dniu byli bardzo zmarznięci, wygłodniali, osłabieni. Podczas gdy mężczyźni ponuro milczeli, wśród kobiet rozległy się ciche głosy niby bolesne szlochanie: niejedna z nich straciła dziecko w tych ostatnich tygodniach, niejednego ukochanego wśród dorosłych i już nie mogła dalej wytrzymać tej wojny.

Gdy parlamentariusze wracali do Jankesów, Wódz Józef natychmiast zwołał naradę swych wodzów i także doświadczonych wojowników. Był bardzo smutny i zatroskany – nie ukrywał tego.

– Droga, jaką widzę przed sobą, jest bardzo ciemna! – odezwał się.

ARKADY FIEDLER ● MAREK FIEDLER

INDIAŃSKI NAPOLEON GÓR SKALISTYCH

37

– Wodzu Gromie Nad Górami, Hejnmot Towialaket, choćby droga była zupełnie czarna, idziemy z tobą! – oświadczył głośno poczciwy Żółty Byk.

– A jeśli będę musiał się poddać za cenę przeżycia naszej grupy Nez Percé.

– Wodzu Józefie, udowodniłeś, że jesteś tak bitnym i mężnym wodzem, iż przewyższyłeś nawet Szalonego Konia od Sjuksów. Ale tyś jeszcze więcej niż bitny i mężny, ty serce masz wielkie! Łatwo zginąć w walce bohaterską śmiercią, trudniej pozostać żywym ze swym szczepem, branym do niewoli... Idę z tobą!

Wszyscy wyczekująco spojrzeli na Białego Ptaka, przecież wodza o nieposkromionej duszy. Wiedzieli, że to usłyszą:

– Ja się nie poddam Jankesom! Niemal zawył Biały Ptak jak raniony wilk. – W nocy przebiję się z moją grupą wojowników i wyrwę się na północ do Kanady, do czerwonych Mundurów!...

– Niech cię Manitu prowadzi! – szepnął Wódz Józef.

Potem wysłał Żółtego Byka do Amerykanów z wieścią, że podda się srogiemu losowi, jeśli generał Howard i pułkownik Miles uczciwie zapewnią jemu i jego grupie powrót do ojczystego Idaho.

– Zapewnimy wam rychły powrót! – skwapliwie przyrzekł Howard.

Dokończenie na str. 7